

Ocalone, nieuśmierzone...

Jolanta Nawrot, Wiesław Ratajczak

Ocalone, nieuśmierzone...

O twórczości Włodzimierza Odojewskiego

BIBLIOTEKA KRYTYKI LITERACKIEJ KWARTALNIKA
„NOWY NAPIS”

REDAKCJA NAUKOWA
Marian Kisiel, Wojciech Kudyba, Józef Ruszar

RECENZJA NAUKOWA
Wojciech Kudyba

AUTORZY
Jolanta Nawrot, Wiesław Ratajczak

REDAKCJA NAUKOWA KSIĄŻKI
Wojciech Kudyba

REDAKCJA JĘZYKOWO-STYLISTYCZNA
Pracownia Mole

PROJEKT KSIĄŻKI I OKŁADKI
Marcin Bruchnalski

KOREKTA
Pracownia Mole

NA OKŁADCE
grafika Aurelii Milach

SKŁAD I ŁAMANIE
Pracownia Mole

INSTYTUT
LITERATURY 



Wydawnictwo Naukowe
UKSW

© by Instytut Literatury, Poland, 2019
wydanie I

WYDAWNICTWO NAUKOWE
UNIwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

ul. Dewajtis 5, 01-815 Warszawa

INSTYTUT LITERATURY
REDAKTOR NACZELNY: Józef Maria Ruszar
KIEROWNIK WYDAWNICTWA: Justyna Pyzia

Kraków–Warszawa 2019
ISBN 978-83-66359-16-1, 978-83-8090-626-6

Wykaz stosowanych skrótów dzieł literackich Włodzimierza Odojewskiego

- WO – *Wyspa ocalenia*, przedmowa T. Burek, Białystok 1990.
ZŚ – *Zabezpieczanie śladów*, Warszawa 1990.
O – *Oksana*, Warszawa 1999.
JW – „*Jedźmy, wracajmy*” i inne opowiadania, Warszawa 2000.
BT – *Bez tchu*, Warszawa 2002.
MN – *Milczący, niepokonani. Opowieść katyńska*, Warszawa 2003.
ZWZ – *Zasypie wszystko, zawieje...*, Warszawa 2006.
IS – *Ikonka Siergija*, Poznań 2008.

Fragmety twórczości Włodzimierza Odojewskiego przytoczono za:
Odojewski W., *Ikonka Siergija* [w:] tegoż, *Bez tchu*, Warszawa 2002,
s. 10–29.

Odojewski W., *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu* [w:] tegoż,
„*Jedźmy, wracajmy*” i inne opowiadania, Warszawa 2000, s. 97–123.

Odojewski W., *Zasypie wszystko, zawieje...*, Warszawa 2006, s. 127–156.

Rozdział I

Spisywane z pamięci

Biografia Włodzimierza Odojewskiego

I. Okres poznańsko-szczeciński 1930–1959

Włodzimierz Odojewski przyszedł na świat 14 czerwca 1930 roku w Poznaniu. Był synem nauczycielki Genowefy Marii z domu Zawodnych i muzyka Stanisława Jana Jasińskiego (pseudonim Stanley Jasinsky). Przed zmianą nazwiska nazywał się Włodzimierz Jan Mikołaj Jasiński. Siedzibą rodową Jasińskich było mieszkanie w secesyjnej kamienicy przy ulicy Żupańskiego 8 na poznańskiej Wildzie. Mieściło się w nim także Wydawnictwo Nowości Muzycznych „Tempo”, założone przez ojca pisarza. Stanisław Jasiński ukończył berlińskie konserwatorium i wydawał w tej oficynie zapisy nutowe skomponowanych przez siebie utworów. Jak wspomina młodsza siostra Odojewskiego, Maria Korde (w rodzinie nazywana Mają):

Przed wojną ojciec grał w orkiestrze i wychodził na próby dopiero w południe. Przygotowywał dla nas wspaniałe śniadania, przyrządzał wysmienite sałatki jarzynowe. Gotował nawet lepiej niż mama. Siadywaliśmy przy zastawionym stole i słuchaliśmy muzyki z patefonu. Bardzo lubiliśmy z Włodkiem te poranki spędzone z ojcem przy muzyce. Często wszyscy razem śpiewaliśmy¹.

W 1936 roku Włodzimierz Odojewski rozpoczął naukę w prywatnej szkole Collegium Marianum w Poznaniu. Mieściła się ona przy ulicy Różanej 17. W tym czasie jego rodzice rozwiedli się i ojciec przeniósł się najpierw do małego mieszkania przy ulicy Żydowskiej w Poznaniu, a potem do Szczecina. Naukę Odojewskiego przerwał wybuch drugiej wojny światowej. Razem z matką i siostrą autor *Oksany* musiał opuścić swój poznański dom. W trójkę mieszkali niemal całą okupację w Kłecku w kamienicy usytuowanej przy tamtejszym rynku (dziś plac Powstańców Wielkopolskich numer 12), u dziadków pisarza ze strony matki – państwa Zawodnych. Było to przestronne, wygodne mieszkanie na pierwszym piętrze, które

¹ Informacja pochodzi z zapisu rozmowy Dagmary Nowakowskiej, członkini Zespołu ds. Archiwum Włodzimierza Odojewskiego na WFPIK UAM, z Marią Korde (niepublikowane).

Zawodni zmuszeni byli oddać Niemcom. Przenieśli się wówczas do sąsiedniej kamieniczki – numer 11, do małego lokalu na parterze. Od lutego 1943 roku Odojewski był członkiem zakonspirowanej IX Drużyny Harcerskiej im. Mieszka I, a 3 maja złożył przysięgę harcerską i dołączył do Szarych Szeregów. Lato spędził na Kresach Wschodnich, w majątku rodziny w okolicach Trembowli, gdzie był świadkiem mordów dokonywanych przez Ukraińską Powstańczą Armię na polskiej ludności cywilnej. W 1944 roku o działaniach jego zastępu harcerskiego dowiedziało się Gestapo i pisarz razem z przyjacielem, zastępowym Zygmuntem Imbierowiczem, został osadzony w areszcie w Gnieźnie. Po trzech dniach zwolniono ich z więzienia na skutek działań matki Odojewskiego i osób z niemieckiej linii rodziny pisarza.

W wieku szesnastu lat, jako uczeń trzeciej klasy gimnazjum, Włodzimierz Odojewski przeniósł się do ojca mieszkającego w Szczecinie. Stanisław Jasiński po wojnie pracował w szczecińskiej filharmonii. Autor *Zasypie wszystko, zawieje...* skończył II Liceum Ogólnokształcące im. Mieszka I w Szczecinie (matura w 1948 roku). W czasie nauki w liceum miały miejsce jego pierwsze próby literackie. Następnie wrócił do Poznania, gdzie rozpoczął pracę w redakcji „Gazety Poznańskiej”. Był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej, a potem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ale wystąpił z niej w 1958 roku. Wcześniej, w kwietniu 1949 roku, za poglądy polityczne został wyrzucony z redakcji „Gazety Poznańskiej”. Od 1950 roku współpracował z Kołem Młodych Związku Literatów Polskich i wkrótce objął w nim stanowisko przewodniczącego. Odojewski studiował na Uniwersytecie Poznańskim ekonomię i socjologię (studia ukończył w 1953 roku), ale nie obronił pracy magisterskiej (pisał o grotesce François Rabelais’go). W 1951 roku zadebiutował fragmentami *Wyspy ocalenia*, którą zaprezentowano na falach Polskiego Radia. Otrzymał za nią Nagrodę Młodych im. Tadeusza Borowskiego. Za oficjalny jego debiut uważa się jednak socrealistyczne *Opowieści leskie*, które ukazały się w 1954 roku. Pisarz kontynuował pracę jako dziennikarz. W 1952 roku rozpoczął współpracę z tygodnikiem „Po prostu”, która trwała do 1954 roku. W tym samym roku ożenił się ze studentką muzykologii Janiną Bystrzycką. W 1955 i w 1956 roku opublikowano inne powieści socrealistyczne Odojewskiego: kolejno *Upadek Tobiasza*

i *Dobrej drogi, Mario. Kretowisko*. W 1956 roku autor rozpoczął współpracę z następnymi redakcjami – „Tygodnika Zachodniego” oraz tygodnika szczecińskiego „Ziemia i Morze”. W tym samym roku przysłała na świat córka pisarza – Katarzyna. Pod koniec lat 60. ukazało się kilka powieści Odojewskiego: *Spisek Czarnych Orłów, Żeglarze Króla Jegomości* (obydwie w 1957 roku), *Białe lato* (1958) oraz *Miejsca nawiedzone* (1959). Pisarz zyskiwał coraz większą popularność w kraju, ale miał również problemy z cenzurą. W 1958 roku zatrzymała ona tom opowiadań *Codzienna ściana płaczu* i zbiór felietonów *Bez dogmatów*, które były złożone w Wydawnictwie Poznańskim.

2. Okres warszawski 1959–1971

Z początkiem lat 60. Włodzimierz Odojewski przeniósł się do Warszawy. Dzięki interwencji spokrewnionego z rodziną Bystrzyckich pisarza Jerzego Putramenta mógł wrócić na rynek wydawniczy. W związku z tym w 1960 roku ukazał się zbiór opowiadań *Kwarantanna*. Wkrótce, w 1961 roku, pisarz objął stanowisko kierownika Studia Współczesnego Teatru Polskiego Radia. Napisał kilkanaście jednoaktówek, pierwotnie pomyślanych jako słuchowiska. W latach 1964–1965 ukazały się one w wyborach *Punkt zwrotny i Pomyłki*. Utwory dramatyczne Odojewskiego zostały zrealizowane nie tylko w Polskim Radiu jako słuchowiska, ale również – przełożone na język widowiska teatralnego – wystawiane były na scenach dramatycznych i w Teatrze Telewizji. Ponadto autor w 1963 roku, jeszcze przed ukazaniem się w druku wyborów słuchowisk-dramatów, otrzymał nagrodę w dziedzinie twórczości radiowej, przyznaną przez Komitet do Spraw Radia i Telewizji oraz Stowarzyszenie Autorów ZAiKS. Szczególną uwagę jury zwróciło na słuchowiska *Wielki człowiek* i *Patrzemy na siebie*.

Podczas pracy w Polskim Radiu Odojewski opublikował również *Czas odwrócony* (1965). Ukazały się także tłumaczenia jego powieści i opowiadań na języki niemiecki, węgierski i francuski. Pisarz został członkiem Polskiego PEN Clubu i otrzymał kilka prestiżowych, zagranicznych propozycji stypendialnych. Zawarł wiele interesujących znajomości intelektualnych, stając się uczestnikiem dynamicznego życia warszawskiego środowiska radiowego. Ze względu na swą pozycję na rynku literackim i kontakty zagraniczne był Odojewski pod

pilną obserwacją aparatu bezpieczeństwa PRL. W 1968 roku, po wydarzeniach marcowych, został zwolniony z pracy w Polskim Radiu. Rozpoczął się kolejny okres jego życiowej drogi, spędzony poza krajem.

3. Emigracja 1971–2003

Na początku lat 70. Odojewski uzyskał od dawna wyczekiwaną zgodę Ministra Kultury i Sztuki na udział w zagranicznym stypendium twórczym. Dlatego w 1971 roku na zaproszenie Francuskiego PEN Clubu wyjechał do Paryża. Po trzech miesiącach przeniósł się do Berlina Zachodniego na stypendium berlińskiej Akademii Sztuki. W Niemczech pisarz zaczął uczestniczyć w wykładach uniwersyteckich, a niebawem sprowadził z Polski żonę Janinę i córkę Katarzynę. Nawiązał kontakty z Polonią berlińską i paryską, poznawał zachodnie środowiska kulturalne i polityczne. W 1972 roku Odojewski przyjął propozycję pracy w dziale kulturalno-literackim Radia Wolna Europa, złożoną mu przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Przeniósł się na stałe do Monachium. Rok później ukazało się w Paryżu *opus magnum* pisarza, czyli powieść *Zasypie wszystko, zawieje...*, wkrótce uhonorowana wieloma prestiżowymi nagrodami. W Republice Federalnej Niemiec pisarz uzyskał azyl polityczny i został członkiem oddziału dla emigrantów Niemieckiego PEN Clubu. W latach 80. i 90. ukazały się kolejne książki Włodzimierza Odojewskiego: *Zabezpieczanie śladów* (1984), *Zapomniane, nieuśmierzone* (1987), *Jedźmy, wracajmy...* (1993), *Raptularz krytyczny. Twórcy, dzieła, konteksty* (1994), *Notatnik półprywatny. W kręgu kultury* (1996) i *Oksana* (1999). Ta ostatnia przyniosła Odojewskiemu w 2000 roku nominację do Nagrody Literackiej „Nike”. W 1993 roku pisarz zakończył współpracę z Radiem Wolna Europa.

Pozostał jednak na emigracji do 2013 roku. Do 2009 roku Odojewski był wciąż aktywny literacko. Ukazały się następujące jego książki: *Milczący, niepokonani. Powieść katyńska* (później pod tytułem *Katyń. Milczący, niepokonani*, 2003), *...i poniosły konie* (2006), *W stepie, ostach i burzanie oraz inne opowiadania* (2009) oraz tłumaczenia dzieł pisarza. Nie ukończył jednak czwartej części cyklu podolskiego – *Powieści berlińskiej* (inne tytuły: *Odejsć, zapomnieć, żyć; Katarzyna*). W 2002 roku zmarła jego pierwsza żona Janina Odojewska. Poświęcił jej opowiadanie *Zaklinanie meduzy*. W październiku 2007 roku

Odojewski wraz z przyjacielem profesorem Jerzym Siepakiem oraz drugą żoną Barbarą Lewkowicz-Odojewską odbył podróż sentymentalną do miejsc dzieciństwa i młodości – Poznania, Kłecka i Gniezna. Pod jej wpływem w 2008 roku podjął decyzję o przekazaniu całej swojej dokumentacji pisarskiej Wydziałowi Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W liście do ówczesnego rektora Uniwersytetu Odojewski pisał:

Moim pragnieniem jest przekazanie Uniwersytetowi im. A. Mickiewicza w Poznaniu swoich zbiorów literackich tak rękopiśmiennych, jak i opracowań w różnym zapisie i różnych językach. Chciałbym, aby przekazane (nieodpłatnie) zbiory znalazły się w bibliotece Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej i były opracowane i dostępne szerokiemu ogółowi studentów i czytelników. Jako urodzony w Poznaniu i jako absolwent tego Uniwersytetu pragnę, by moje obszerne zbiory znalazły się w moim rodzinnym i studenckim mieście².

Tak się stało i przekazana przez pisarza uniwersytetowi kolekcja znajduje się dzisiaj w Archiwum Włodzimierza Odojewskiego w gmachu Collegium Maius. W czasie emigracji pisarz podjął ponadto współpracę z Janem Jakubem Kolskim, w wyniku której reżyser nakręcił film *Wenecja* (2010). Powstał on głównie na podstawie *Sezonu w Wenecji* Włodzimierza Odojewskiego, ale można w nim dostrzec także inspirowanie się innymi opowiadaniem pisarza.

4. Powrót do Warszawy 2013–2016

Po śmierci w Monachium 13 czerwca 2013 roku Barbary Lewkowicz-Odojewskiej autor *Wyspy ocalenia* opuścił Niemcy i wrócił do Warszawy, do swojego drugiego mieszkania na Żoliborzu. Niestety ze względu na pogarszający się stan zdrowia przeniósł się do Domu Muzyka Seniora w podwarszawskich Kątach. W wieku osiemdziesięciu sześciu lat, 20 lipca 2016 roku, zmarł w szpitalu w Piasecznie. Został pochowany na Starych Powązkach w Warszawie 2 sierpnia 2013 roku.

Jolanta Nawrot

² List Włodzimierza Odojewskiego do rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu z dnia 10 czerwca 2009 roku. List znajduje się w zbiorach Archiwum/Pracowni Włodzimierza Odojewskiego przy Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej UAM. Pisownia oryginalna.

Rozdział II

Ocalone, nieuśmierzone

O twórczości Włodzimierza Odojewskiego

Pamięć, ból, miłość. To trzy wielkie tematy prozy Włodzimierza Odojewskiego, traktowane przez niego zawsze tak poważnie, jak na to zasługują, i z przekonaniem, że wyrażone muszą być w sposób niebanalny, stylistycznie wyrafinowany, przejmujący i wymagający skupienia. W tym szkicu każdemu z trzech zagadnień poświęcę odrębny rozdział, zaznaczyć jednak muszę, że pisarz ukazuje je na ogół we wzajemnych związkach, nierozzerwalnie splecione.

Powroty – do postaci, miejsc, wątków – są zasadą tej twórczości. Stąd najwłaściwszy wydaje się pomysł, by nie przedstawiać jej chronologicznie, lecz przy każdym z trzech tematów przywołać kilka wybranych utworów. Pisarstwo Odojewskiego nie jest systematycznym przechodzeniem od jednego tematu do drugiego, nie jest też metodycznym rozwiązywaniem zagadnień artystycznych. Choć jego metoda twórcza polega na nieustannym ponawianiu pytań, problemów, sytuacji, w żadnym razie nie nuży. Można powiedzieć, że czytelnik, który wchodzi głębiej w świat prozy Odojewskiego, tę powrotność rozpoznaje jako cechę świadczącą o pisarskiej dociekliwości, uczciwości, która nie pozwala zamknąć skomplikowanych kwestii kategorią puentą, porzucić bohaterów i ich nierozwiązywalnych problemów.

I. Pamięć

Częstym punktem wyjścia tych opowieści jest jakieś z pozoru drobne wydarzenie, sprawiające jednak, że z ogromną siłą wracają przeżycia, wydawałoby się, nieodwołalnie zapomniane. Pisał o tym Odojewski tak w jednym z opowiadań:

Lata mijają i jest wszystko raz na zawsze pogrzebane. Nie boli. Nawet się nie śni, że mogłoby zabołeć. A nagle jakiś przypadkowy dzień, przypadkowe spotkanie, pytanie i wszystko powraca, jakby cały tamten czas paliło się jasnym światłem w ciemności, a jedynie on był ślepy (*Zapomniane, nieuśmierzone...*, BT 228).

Zapominanie to nierzadko świadomy wysiłek człowieka, podejmowany po to, by pozbyć się ciężaru uniemożliwiającego życie. Tak postąpił bohater cytowanego przed momentem opowiadania *Zapomniane, nieuśmierzone...* (będzie ono przedmiotem uwagi w trzeciej części tego studium), który „postanowił zapomnieć i w końcu może nawet zapomniał albo wydawało mu się, że zapomniał, nigdy o niej później nie myślał, czasem śnił, ale nigdy nie myślał, dlaczego?” (*Zapomniane, nieuśmierzone...*, BT 259). Gdy tak starannie ukrywana i negowana część osobistej przeszłości nagle zostaje przywołana, rozpoczyna się nieodwracalny, bolesny i obfitujący w konsekwencje proces rekonstrukcji świadomości, dotyczący sfery prywatnej, ale szybko obejmujący także to, co wspólne, historyczne. O swojej podległości wobec procesów dziejowych bohaterowie Odojewskiego nierzadko starają się nie pamiętać lub przynajmniej wobec niej zdystansować, w pewnym momencie jednak zmuszeni są uznać spłot historii i egzystencji.

W słynnym, spopularyzowanym dzięki filmowi Jana Jakuba Kolskiego¹ opowiadaniu *Sezon w Wenecji* (1976 r., lipiec – 1999 r.²) przypomnienie ma dwoisty charakter, rekonstruowany przez narratora fragment przeszłości jest zarazem tragiczny, budzący grozę i przejmująco piękny. Fabułę umieścił pisarz w realiach września 1939 roku; to czas odtwarzany przez Marka, bohatera opowiadania, we wspomnieniu powracającego do kilku tygodni z dzieciństwa. Wojna ustanowiła, oczywiście, ostrą granicę między tym, co przed jej nadejściem, i tym, co po nim, a tę nieodwracalną zmianę symbolicznie ujął pisarz w obrazie odbarwiającej się przestrzeni i przestawionego czasu:

Więc potem nic nie było już takie jak przedtem. Jak gdyby świat nagle stracił wszystkie barwy, zbladł, zbrzydł, nie że zesmutniał, stał się po prostu obcy, niemal wrogi, przejmował lękiem (a ten ich wspomniał sezon wenecki dopiero miał się zacząć), dlatego też po latach, jeżeli tylko pomyślał o dniu, w którym po raz pierwszy usłyszał detonacje bomb i odgłosy pękających pocisków przeciwlotniczych zenitówek, to budziło się w nim podejrzenie, że chwila to była graniczna, jak gdyby zegary właśnie nastawiono na inny czas (*Sezon w Wenecji*, JW 51–52).

¹ *Wenecja* (2010), reżyseria i scenariusz Jan Jakub Kolski.

² Będę przytaczał daty powstania podawane na końcu utworów przez ich autora. W przypadkach, gdy Odojewski pomija tę informację, w przypisie wskażę datę pierwodruku.

Gdy w pamięci wywoływana jest sekwencja ostrzelania kolumny uciekinierów wojennych przez niemiecki samolot (zauważyć można, że Odojewski często w swych utworach sięga po obrazy doskonale znane, utrwalone w świadomości zbiorowej, by na nowo napełnić je treścią i emocjami), bohater opowiadania, już jako dorosły, widzi w niej gwałtowne wprowadzenie dziecka w realia śmierci niespodziewanej, gwałtownej, okaleczającej, a przy tym obserwowanej uważnie, ze skupieniem, w ciszy. Takie właśnie spojrzenie na ciało człowieka, unicestwianego przez wrogie życie siły, niejako z powagą odprowadzanego do kresu, będzie charakterystyczne dla prozy Odojewskiego, w której czytelnik znajdzie wiele drastycznych scen związanych z wojennym okrucieństwem, jednak wyrażonych w sposób wyciszony, w pewnym sensie – czuły. Jak w tej scenie z *Sezonu w Wenecji*:

A zupełnie blisko, bo zaledwie kilka kroków od żywopłotu, gdzie sam stał, na trawie [widział] żołnierza, jeszcze próbującego się czołgać, jeszcze bezwiednie podtrzymującego coś co wypływało z brzucha, owijało mu się wokół palców, i jego usta, zupełnie czarne, otwierające się i zamykające, jakby chciały coś wyjęść i nie mogły, i jego źrenice, wypełnione bezbrzeżnym zdziwieniem, kiedy głowa przechyliła się do tyłu i tak w tym odchyleniu pozostała, w szeroko zaś rozwartych oczach żołnierza zobaczył, zdawało mu się, kawałek czystego nieba z przepływającym nań wolno obłokiem (*Sezon w Wenecji*, JW 56).

Dla Marka i innych dziecięcych bohaterów opowiadania czas początków wojny mógł stać się trudnym do wytrzymania, niezrozumiałym i przerażającym koszmarem, o czym Odojewski nie musiał przecież przekonywać czytelników. Również im, świadomym grozy sytuacji, tym dotkliwszej, że zagarniającej dzieci, podsunął rozwiązanie nieprawdopodobne, nie tyle negujące okropieństwa wojny, co im się w niezwykły sposób przeciwstawiające. Pomysł fabularny zastosowany w *Sezonie w Wenecji* może przypominać film Roberta Benigniego *Życie jest piękne* (1997). Jego bohater, Guido Orefice, by psychicznie oddzielić syna od nieludzkich reguł niemieckiego obozu śmierci, wmawiał chłopcu, że znaleźli się wspólnie w miejscu, gdzie toczy się gra polegająca między innymi na ukrywaniu się i przechytrzaniu strażników. Oczywiście – nikt z widzów nie mógł uwierzyć w życiowe prawdopodobieństwo tej zabawy, podobnie jak

za fantastyczny nietrudno uznać pomysł Odojewskiego. Otóż tytułową Wenecję (wymarzony i niezrealizowany cel wakacyjnej podróży Marka) odkryła i urządziła w obszernych, częściowo zalanych piwnicach willi ciotka Barbara, postać przypominająca rozpoznające czule potrzeby dzieci piastunki lub wróżki z baśni. Piwnica, w kulturowych obrazach wojny skojarzona trwale ze schronem, kryjówką, w opowiadaniu Odojewskiego stała się miejscem ocalenia dla dziecięcej wyobraźni i beztroski (na pewien czas choćby, a przecież każdy dzień zwycięstwa nad koszmarem jest, jak w filmie Binigniego, bezcenny). Tu marzenie zwyciężało nad przerażeniem, urządzona z rupieci, ozdobiona lampionami podziemna laguna okazywała się równie piękna jak włoski oryginał:

[Ś]wiatło wpadające przez okna do ogrodu rozświetlało wnętrza zielonkawym złotem, załamywało się na powierzchni, lśniło, błyskało, na ścianach też pełno było ognistego i chłodnego migotania i wszystko wydało się zupełnie jak w prawdziwym mieście „na wodzie”, w Wenecji. Chyba na krótko zapomnieli wtedy o wojnie (*Sezon w Wenecji*, JW 64).

Serenissima była miastem muzyki, w jej nowej wersji rozbrzmiewała grana przez żydowskiego chłopaka Naumka na skrzypcach melodia piosenki *O gwiazdeczko, coś błyszczała, gdy ja ujrzał świat*, której słowa (autorstwa Wincentego Pola, niecytowane przez Odojewskiego), gdy je przytoczyć, pomagają uchwycić sens i nastrój opowieści, być może prowadzonej przez kogoś, kto z perspektywy bliskiego kresu życia wspomina moment zamknięcia dzieciństwa:

O gwiazdeczko, coś błyszczała,
Gdy ja ujrzał świat,
Czemuż to tak, gwiazdko mała,
Twój promyczek zbladł? [...]
Niech me serce jeszcze zazna
Doli młodych lat,
Nim mnie ręka pchnie żelazna
Za słoneczny świat³.

Muzyka, blask świec, przedmioty „ewakuowane” do podziemnej utopii piękna tworzą nową, zaskakującą całość:

³ *Polski śpiewnik narodowy z melodjami*, wyd. W. Adamski, Poznań 1919, s. 143–144.

[Z]dumiewające było wszystko, te światła nad wodą, woda poruszająca się światłami, ich głosy, szepty i śmiech, ta muzyka, budowle z mebli i sprzętów, które dawno przestały być meblami i sprzętami, stając się w ich wyobraźni zupełnie czymś innym (*Sezon w Wenecji*, JW 70–71).

Czy takie piękno może ocalić? Na pytanie dziecka, czy muzyka zdoła kogoś uratować podczas burzy, jedna z dorosłych bohaterek wyjaśniła sedno tej zabawy (a może literatury i sztuki w ogóle). Muzyka, poezja, obserwacja gwiazd *et cetera* mogą w dramatycznych momentach przypomnieć człowiekowi, że istnieją „rzeczy trwałe, niezmiennie i rzeczy przemijające”, a wyobrażenie „tych rzeczy stałych” (*Sezon w Wenecji*, JW 72) może przynieść ratunek. Opowiadanie Odojewskiego staje się swego rodzaju przypowieścią o ocalających możliwościach sztuki, wyobraźni, a przypomnienie o ich mocy wydaje się ważne zwłaszcza w kontekście twórczości pisarza, który przeprowadza swoich bohaterów i czytelników przez szczególnie bolesne doświadczenia.

Treścią *Sezonu w Wenecji* jest piękno, które nie może zatrzymać przemocy historii, ale daje kilka chwil, parę dni niewinności, bez troski i dziecięcości, a zatrzymane w pamięci i przywoływane po wielu latach daje przecucie, że w rozpadającym się świecie doświadczyć można jednak czegoś trwałego. W opowiadaniu tym, jak zwykle u Odojewskiego, pamięć prywatna (związana z tym, co w życiu najpiękniejsze i najstraszniejsze) splata się z pamięcią wspólną o tragicznym wrześniu 1939 roku.

Z początkiem wojny, z chwilą, kiedy uruchomione zostały mechanizmy przynoszące zagładę podolskiego i wołyńskiego świata południowo-wschodnich kresów II Rzeczypospolitej, wiąże się także wspomnienie zawarte w krótkim opowiadaniu *Koń pułkownika* (wrzesień – 1999 r.). Jego akcja rozgrywa się w miasteczku, którego nazwa wprawdzie nie pada, ale bez trudu rozpoznać w nim można znaną pisarzowi z dzieciństwa Trembowlę (w niej toczy się także akcja *Sezonu w Wenecji*). Głównym traktem miasteczka ciągnęli wojenni uciekinierzy cywilni oraz żołnierze z rozbitych oddziałów. Uwagę obserwujących ten chaotyczny ruch chłopców („Mieliśmy po dziesięć, dziesięć, jedenaście lat, nie więcej, nasz świat się wtedy zawalił” – tak brzmi pierwsze zdanie opowiadania; *Koń pułkownika*, JW 88) przykuł piękny, rasowy kary koń należący do śmiertelnie

rannego polskiego oficera. Obraz przerażonego, ściganego zwierzęcia (będący, być może, polemicznym nawiązaniem do motywu z *Lotnej*, opowiadania Wojciecha Żukrowskiego o kawalerskim koniu, spopularyzowanego przez film Andrzeja Wajdy) w skrótowny sposób pozwolił pisarzowi ująć kres dawnego ładu i zapowiedź potworności rzezi wołyńskiej. Polacy i Żydzi z miasteczka w osłupieniu, niezdolni do jakiegokolwiek reakcji przypatrywali się bowiem ukraińskim wyrostkom pastwiącym się nad koniem. W jednej chwili młodzi ludzie przeistoczyli się w okrutną zgraję:

I wszyscy oni mieli jakby jednakową twarz, w ogóle wydawali się pozbawieni cech indywidualnych, była w nich wszystkich taka sama zaciekłość okrutnej zabawy czy czegoś jeszcze innego, nie mogliśmy odgadnąć, zresztą może gdybyśmy nawet próbowali, nie mieściłoby się to nam w głowie; byli w tej swojej zaciekłości podobni do siebie jak krople wody jesiennego deszczu, widać wspólny cel upodabniał tak bardzo, gdy po miasteczku za tym koniem gonili (*Koń pułkownika*, JW 94).

Dla wspominającego tę scenę narratora moment, kiedy po raz pierwszy w życiu przekonał się na własne oczy o ludzkim okrucieństwie, był zatrzaśnięciem drzwi dzieciństwa, a okrutna uliczna scena dla niego i dla jego rówieśników stała się nieusuwalnym, dręczącym zasobem pamięci. Oddał to pisarz w zamykającej opowiadanie parafrazie pierwsze zdania: „Mieliśmy po dziewięć, dziesięć, jedenaście lat, nie więcej. Żaden z nas nie doświadczył później łaski zapomnienia” (*Koń pułkownika*, JW 96).

Odojewski swą prozą, nowoczesną w formie, nawiązującą do wzorów czerpanych z twórczości Faulknera i Joyce’a, wypełniał stary, dziewiętnastowieczny paradygmat polskiej literatury: nakaz dania świadectwa zbiorowemu doświadczeniu, zwłaszcza w jego tragicznym wymiarze, wokół którego mogłaby zapanować zмова milczenia. Na zarzut, iż literatura polska stała się nieznośnie cierpiętnicza, odpowiadał zniecierpliwiony: „Że zaś nasza literatura jest zbyt martyrologiczna? To głupie głosy. Bo nasza smutna historia odbijająca się w literaturze to jest to właśnie, co odróżnia literaturę polską od innych”⁴.

⁴ *Groby się jeszcze nie zapadły*, rozmowa W. Odojewskiego z K. Masłoniem, „Rzeczpospolita” 2001, nr 281, s. D1–D2.

W historii Polski szczególnym przypadkiem brutalnego zacierania pamięci, niszczenia dowodów i eliminowania świadków jest kłamstwo katyńskie. Ujawnienie i utrwalenie prawdy na temat zamordowanych przez Sowieców polskich oficerów to jeden z węzłowych wątków twórczości Odojewskiego. W opowiadaniu *Ku Dunzyńskiemu Wzgórzu idzie las...* (1981) już dzięki tytułowi w centrum uwagi czytelnika postawiona została sprawa zbrodni, która nie może pozostać bezkarna. Odwołując się do *Makbeta* Szekspira, Odojewski przypomniał z tej tragedii enigmatyczną przepowiednię pozornie gwarantującą bezkarność zabójcy, a w istocie – zapowiadającą ujawnienie przewin i karę. Głównym bohaterem opowiadania jest żyjący na Zachodzie polski Dziennikarz, który od emigracyjnego białoruskiego Profesora otrzymał taśmę z potajemnie nagrany relacją Osobnika – pracownika peerelowskiej dyplomacji. Owo zeznanie dotyczyło historii (oczywiście fikcyjnej, choć uprawdopodobnionej) żołnierza ocalałego z Katynia. Z drugiej ręki więc, za pośrednictwem funkcjonariusza systemu ufundowanego właśnie na zbrodni i kłamstwie katyńskim, dotarła do Profesora i Dziennikarza wstrząsająca historia jedyne go spośród grona skazanych żyjącego świadka ludobójstwa. Do tego, co Dziennikarz już wiedział o Katyniu, doszły kolejne detale, które pozwoliły wyobrazić sobie sam moment egzekucji, tak jak doświadczył go ocalony:

I on [...] dopiero wtedy zaczął się wrywać. Bo przedtem dał się im pędzić przez las i przez polanę, nawet przez ten dwuszereg czekających tam mężczyzn też. Ale wtedy zaczął się wrywać i oni wykręcili mu do tyłu ręce, i próbowali owiązać je drutem, a wtedy stracił nagle wszystkie siły i padł twarzą na ziemię, oni zaś nie krępowali mu już rąk drutem dalej, i strzał od tyłu padł, kiedy leżał, więc został doń oddany nieco z góry i pewnie dlatego był niecelny. Poczul wtedy gorące, osmalające jak ogień uderzenie kuli w głowę, lecz to nie mogło być uderzenie kuli, która by poszła w głąb, musiała mu osmalić po wierzchu włosy tylko, rozerwać skórę i ześliznęła się po kości, bo dalej był przytomny, choć ogłuszony, cały jak sparaliżowany i zalany już krwią (*Ku Dunzyńskiemu Wzgórzu idzie las...*, ZŚ 87–88).

Zachowany od śmierci stał się świadkiem opowiadającym o tajemnicy mordy, szalonym wędrowcem i wiecznym uciekinierem, wreszcie tropionym jak zwierzę banitą. Odojewski przedstawił tę postać jako depozytariusza cennej i niebezpiecznej wiedzy, jako

istotę balansującą między światami żywych i umarłych, zwabianą odgłosami nocnych egzekucji, bez przerwy doświadczającą grozy tamtej nocy, gdy wygrzebywał się z grobu. Wiele lat przed tym, kiedy temat walki uczestników powojennego antykomunistycznego podziemia, zwanych dziś żołnierzami wyklętymi, stał się przedmiotem zainteresowania historyków i pisarzy, autor opowiadania genialnie połączył w swej fabule te dwa wątki: zbrodnię katyńską i pacyfikację niepodległościowej konspiracji, jaka nastąpiła po 1945 roku. Groza tej powojennej operacji przeciw wrogom ustroju polegała między innymi na tym, że – jak podkreślał pisarz – dokonali jej w dużej mierze Polacy:

Ci partyzanci natomiast, kryjący się wciąż jeszcze po lasach, zwani byli przez tamtych bandytami i tępiono ich z nienawiścią i zjadłością tym większą, że nawet niejeden z tych, jak Osobnik, w mundurach KBW, [...] uważał ich, tych nazywanych bandytami za bohaterów, którzy pragnęli przedłużyć nadzieję na kraj rządzący się prawami, sprawiedliwością i tradycjami nie narzuconymi przez obcą siłę, choć, oczywiście, żaden nie przyznałby się do tego otwarcie, chyba że we śnie (*Ku Dunzynańskiemu Wzgórzcu idzie las...*, ZŚ 107).

Sceny obław przedstawił Odojewski w realiach Gór Świętokrzyskich, w krajobrazie, który, między innymi za sprawą Stefana Żeromskiego, skojarzony został w polskiej tradycji tak silnie z pacyfikacją prowadzoną sto lat wcześniej przez Rosjan podczas powstania styczniowego.

Łącząc trzy plany historii (rok 1940, lata tużpowojenne i współczesność), pisarz ukazał potęgę światowego mocarstwa przez kilkadziesiąt lat skupionego na podtrzymywaniu kłamstwa o zbrodni. Przy tym przedstawiał głównego bohatera opowiadania, Dziennikarza, jako człowieka przekonanego (przypomnę – w 1981 roku!), że prawda zatriumfuje, a z jej ujawnieniem upadnie Związek Sowiecki. Tak jak ukarany został Makbet, komunistów czeka kara

za tych i innych pomordowanych, za miliony zgnojone w łagrach, przy budowaniu tam, kanałów, kolejowych linii syberyjskich i linii gazociągów, za umarłych w kopalniach rudy żelaznej, złota, węgla, na tundrach, nad Białym Morzem, na Kołymach, za masowy głód na Ukrainie, za ludożerstwo z głodu, za rozrywanie rodzin, donosy syna na ojca, brata na brata, za zabijanie w ludziach duszy, za największe zło, jakie zna historia [...] (*Ku Dunzynańskiemu Wzgórzcu idzie las...*, ZŚ 115).

Nawet jeśli nie zapadnie wyrok trybunałów (w ich skuteczność Odojewski i bohaterowie jego prozy raczej nie wierzyli), to struktury kłamstwa muszą się rozpaść.

W opowiadaniu *Ku Dunzynańskiemu Wzgórz idzie las...* Odojewski najszczegółowiej i najdobitniej wyłożył swoje przekonania dotyczące pamięci jako decydującej siły historii. Dotyczące tego słowa Dziennikarza są zapewne najczęściej przywołanym cytatem z twórczości pisarza: „Jeżeli nawet Boga nie ma, to jest pamięć. Może ludzka pamięć jest jakimś przejawem Boga. Może nawet ona sama jest Bogiem. Trzeba coś zrobić, żeby nie wygasła...” (*Ku Dunzynańskiemu Wzgórz idzie las...*, ZS 94). Nie wygasa dzięki świadkom i dzięki tym, którzy świadectwa zachowują, utrwalają i upowszechniają. Wszystkie te role wypełnił przyjaciel i korespondent autora – pisarz Józef Mackiewicz, za zgodą polskiego państwa podziemnego obecny przy prowadzonej przez Niemców ekshumacji ofiar zbrodni katyńskiej, a później przez resztę życia walczący z kłamstwem o tym ludobójstwie.

Zachęcony przez Andrzeja Wajdę, Odojewski przygotował nowelę filmową *Milczący, niepokonani. Opowieść katyńska* (2003). Jak wiadomo, reżyser ostatecznie zrezygnował ze współpracy z pisarzem⁵, a film *Katyń* powstał na podstawie powieści Andrzeja Mularczyka. Czytając powstałą w tych okolicznościach książkę Odojewskiego, trudno nie myśleć o niej w kontekście niezrealizowanego filmu. W porównaniu z innymi dziełami pisarza charakteryzuje się znacznie zredukowanymi partiami monologów wewnętrznych, zwartością fabuły, wyrazistszym obrazowaniem i bardziej konsekwentnym oddzieleniem jawy od snu. Jest to jednak bez wątpienia oryginalny i wartościowy utwór literacki, poświęcony tematowi obecnemu w twórczości Odojewskiego przez kilkadziesiąt lat.

Czytelną, jednowątkową fabułę skoncentrował pisarz na mechanizmie konstruowania kłamstwa i na losach głównego bohatera: Romana – prokuratora, którego brat został zamordowany w Katyniu. On sam spędził wojnę w niemieckim obozie jenieckim w Murnau, a jako przedwojenny sympatyk komunizmu nie miał oporów przed powrotem do kraju i przed zaangażowaniem w śledztwo, w którym

⁵ Światło na relację między twórcami rzuca korespondencja przechowywana w poznańskim Archiwum Włodzimierza Odojewskiego.

główną hipotezą była niemiecka odpowiedzialność za zbrodnię katyńską. Postać tę w niewielkim stopniu wzorował Odojewski na prokuratorze Romanie Martinim, od czerwca 1945 roku prowadzącym śledztwo przeciwko Polakom (między innymi pisarzowi Ferdynandowi Goetlowi) rzekomo wspierającym niemiecką propagandę w oczernianiu Związku Sowieckiego. Martini został zamordowany w marcu 1946 roku. Choć wiele wskazuje na obyczajowe podłoże tej zbrodni, pojawiła się też wersja o eliminacji prokuratora z powodu odkrycia przez niego dokumentów potwierdzających sowieckie sprawstwo w Katyniu. Pogłoski o tym, że Martini przejrzał sowieckie kłamstwo, zdobył obciążające Sowietów dowody i przekazał je na Zachód, Józef Mackiewicz podsumował zdecydowanie: „w podobną bajeczkę trudno uwierzyć”⁶. Bez względu na to, jak istotne dla Odojewskiego były losy Martiniego (a – jak wiemy z dokumentów zachowanych w archiwum pisarza – interesował się tą sprawą), stworzył postać, której zachowania i wybory są życiowo prawdopodobne. Izolowany w obozie jenieckim, świadomy manipulacji niemieckiej propagandy, a przy tym sympatyzujący z komunizmem mógł uwierzyć w sowiecką wersję zbrodni katyńskiej, by ostatecznie stanąć wobec wyboru: albo poprzeć kłamstwo, albo zginąć. *Tertium non datur* – w tej podstawowej dla polskiej historii i świadomości sprawie nie ma mowy o kompromisach.

Gdy zgodnie z zasadami śledztwa pojechał wykonać wizję lokalną, wraz z sowieckim oficerem dotarł do miejsca oznaczonego pomnikiem z tablicą zawierającą oskarżenie Niemców, a padający śnieg symbolicznie pokrywał ślady i pamięć, na białym tle można było zapisać dowolną wersję kłamstwa:

Wtedy major zatoczył ręką dookoła i powiedział, że to tu i tu są te mogiły, teraz ich nie widać, śnieg je zasypuje, ale to tu, na pewno, gdyż wiosną, jak wojsko przejmowało cały ten teren, to je widać było (MN 137).

Z drugiej ręki poznaje czytelnik opowiadania relację Małgorzaty – bratanicy Romana, która do katyńskich grobów dotarła znacznie wcześniej, gdy Niemcy je odkryli i przeprowadzili pierwszą ekshumację. Dziewczyna zapamiętała, jak

⁶ J. Mackiewicz, *Tajemnica szwedzkiego dossier*, „Wiadomości” [Londyn] 1949, nr 41.

szum pobliskiego lasu pokonywał, zmiatał z ziemi wszystkie inne głosy, tak że zapamiętała go najtrwalej, i jeszcze, że odór spustoszenia, rozpadu i rozkładu, zgnilizny, zepsutego mięsa wciąż napierał, nieludzki, niewyobrażalny nigdy przedtem, odrażający, wciskał oddech w gardło z powrotem i nie dał o sobie zapomnieć ani na chwilę [...] (MN 201).

Szum i odór, a także śnieg z podróży Romana uobecniały siły zacierające prawdę, pozwalające triumfować sprawcom zbrodni.

Opowiadanie wieńczy symboliczny finał – niezwykle wymowny sen Małgorzaty, sugerujący, że pamięć i historyczna prawda nie zawsze podporządkowują się dążeniom zbrodniczej władzy, dysponującej nieograniczonymi środkami. W tej mrocznej opowieści o triumfującym kłamstwie bezwzględny, skuteczny system, który eliminuje każdego, kto mógłby przyczynić się do wyjawienia prawdy, ostatecznie przegrywa. O tym, że kłamstwo nie zwyciężyło, współdecydowały książki Odojewskiego.

Zbiór *Zabezpieczanie śladów*, z którego pochodzi interpretowana wyżej proza *Ku Dunzynańskiemu Wzgórzom idzie las...*, zamyka opowiadanie *W stepie, w ostach i burzanie* (1983). Nie ma w nim tradycyjnej fabuły, nie ma wyraźnie wskazanych i scharakteryzowanych bohaterów. Odojewski oddał tu głos podmiotowi zbiorowemu, milionom ofiar komunistycznego systemu, proszących i modlących się o pamięć. Podkreślić jednak trzeba, że i tym razem – choć mowa o milionach – czytelnik ma wysłuchać apelu konkretnego człowieka, to jego widziana w rzeszy więźniów i katorżników twarz ma nie przestawać go niepokoić:

Nie zostawiajcie mnie w spokoju! Nie porzucajcie dla waszej gadaniny, pisaniny, krzątaniny, starań przynoszących drobne zyski, waszej powszedniej zapobiegliwości! Nie porzucajcie, nie zapominajcie! (*W stepie, w ostach i burzanie*, ZŚ 124)

Była mowa o rozmaitych uzasadnieniach skoncentrowania pisarza na kwestii pamięci historycznej, widzianej przez pryzmat konkretnego ludzkiego losu. Dodać można na koniec, że sprawa jest dla pisarza ważna także ze względu na toczącą się walkę o symboliczne panowanie nad przeszłością narodów i państw. Na pytanie dziennikarza: „Czy wszystkich umarłych musimy stawiać Europie, na Wschodzie, na Zachodzie, przed oczami?”, Odojewski odpowiedział

krótko: „Inaczej okaże się, że to my jesteśmy winni”⁷. A uzasadniając potrzebę zgłębiania procesów i reguł historii, dodawał: „Jeśli chcemy być na równych prawach w Europie, to trzeba zachowywać pamięć historyczną, bo inaczej wszystko zasypie, zawieje...”⁸.

2. Ból

Drugim tematem, z innych względów objętym przez lata znową milczenia, który powraca w pismach Odojewskiego, są zbrodnie popełnione podczas drugiej wojny światowej przez ukraińskich nacjonalistów. Pamięć o tych wydarzeniach wznowił między innymi w powieści *Zasypie wszystko, zawieje...* (powstałej między styczniem 1964 a grudniem 1967 roku), uznawanej zgodnie przez krytyków za jego najwybitniejsze dzieło. Można w nim widzieć rozpisane na głosy bohaterów studium bólu: fizycznego, wynikającego ze straty najbliższych, z poczucia bezsilności wobec zła, niemożności ocalenia bliskich, przerwania rzezi.

Powieść ta ze względów cenzuralnych (zwłaszcza z powodu obecności wątku katyńskiego, omówionego szczegółowo w innym rozdziale niniejszej książki) nie mogła ukazać się w kraju. Opublikowana została dopiero w 1973 roku staraniem emigracyjnego Instytutu Literackiego. Napisał ją Odojewski jakby wbrew tytułowej sentencji, odnoszącej się do zagłady wołyńskiego i podolskiego świata, w którym w przerażający sposób skoncentrowały się procesy charakterystyczne dla czasu drugiej wojny światowej: dwie okupacje sowieckie z ich terrorem, propagandą i masowymi wywózkami, okupacja niemiecka skutkująca zagładą Żydów, a także czystki etniczne przeprowadzane przez nacjonalistów ukraińskich. Skumulowane zło, ukazane w powieści Odojewskiego, konsekwentnie ścierało warstwy starego porządku, unicestwiała ludzi, domy, utrwalone formy wspólnego życia. Dla bohaterów powieści, członków dwóch rodzin: Woynowiczów i Czerestwienskich, nie było fizycznego ratunku, w ostatnim zdaniu powieści mowa o wietrze „obojętnie zawiewającym wszelkie ślady” (ZWZ 656). Szczegółowo opisując

⁷ *Pisarz w kleszczach historii*, rozmowa W. Odojewskiego z B. Tumiłowiczem, „Przeгляд” 2005, nr 24, s. 28–31.

⁸ Tamże.

ujawnienie się niszczycielskich sił w historii narodów, losach rodzin i poszczególnych ludzi, Odojewski dążył do tego, by w świadomości czytelników znikanie skojarzyło się z konkretnymi ludzkimi kolejami życia, charakterami, przedmiotami, miejscami, ze wszystkimi ich niepowtarzalnymi, bezcennymi szczegółami. Wydawałoby się, że wobec grozy czasów perypetie miłosne bohaterów, rodzinne konflikty, wspomnienia, emocje i sny nie miały żadnego znaczenia, ale – jak przekonuje pisarz – było wprost przeciwnie: wszystkie te drobiazgi są kosztownymi szczątkami, dowodami minionego życia. O unicestwionym świecie trzeba pisać, używając – rzecz można – czasu przeszłego dokonanego, ale nie odeszłego, zimnego, obojętnego.

Skoncentrowany na prawdzie życia swoich bohaterów pisarz unikał uogólniających sądów o dziejach, nie odnosił się do statystyk, nie pisał o politycznej odpowiedzialności. Tym może różnił się od swego przyjaciela i mistrza Józefa Mackiewicza, który w powieściach *Droga donikąd* (1955) i *Nie trzeba głośno mówić* (1969) przedstawił proces zagłady północno-wschodnich obszarów II Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką i niemiecką, niejako uzupełniony przez autora *Zasypie wszystko, zawieje...* o obrazy Kresów południowo-wschodnich. Mackiewicz losy powieściowych bohaterów przedstawiał w szerokim i pogłębianym kontekście ideologii i polityki, ujętym niemal naukowo. Tymi aspektami Odojewski się nie zajmował; nie oznacza to jednak, że relatywizował historię. Nie przekonywał bynajmniej, że istnieją tylko poszczególne ludzkie perypetie, mikrohistorie, a każda strona, na obrazach przeszłości opierająca świadomość zbiorową, ma prawo do własnej wersji. Tak swoje stanowisko wobec prawdy o dziejach scharakteryzował w jednym z wywiadów:

Istnieją dwie pamięci historyczne, ale prawda jest tylko jedna i mam nadzieję, że kiedyś zostanie w pełni odkryta. Stosunkom polsko-ukraińskim nie przyniesie pożytku zakłamywanie historii, przemilczanie, a szczególnie relatywizacja zdarzeń⁹.

Odojewski protestował przeciwko ujmowaniu konfliktu w kategoriach wojny domowej, wobec skali sowieckich wywózek i niemieckiego

⁹ Włodzimierz Odojewski o pamięci Kresów [w:] *Rozmowy na koniec wieku*, t. 3, wywiady i redakcja K. Janowska, P. Mucharski, Kraków 1999, s. 95–106.

terroru polska mniejszość podjęła jedynie „rozpaczliwą obronę niedobitków przed straszliwym, nacjonalistycznym wybuchem ukraińskim”¹⁰.

Wydarzenia opisane w powieści *Zasypie wszystko, zawieje...* rozgrywały się w 1943 i 1944 roku, w okolicy związanej z losami dwóch rodzin, Czerestwiewskich i Woynowiczów. Seniorem pierwszego z rodu był Rosjanin Mikołaj Fiodorowicz, uciekinier spod władzy bolszewików. W kolejnym pokoleniu rosyjskość dosłownie spokrewniła się z ukraińskością i polskością, syn Mikołaja miał troje dzieci: nieślubnego syna Semena Gawryluka i dwoje dzieci ze związku z Polką – Piotra i Konstancję. Młode pokolenie Woynowiczów reprezentowali kuzyni Piotra Czerestwiewskiego, bracia Aleksander i Paweł. Żoną starszego, Aleksandra, była wychowana w domu Czerestwiewskich Katarzyna. Choćby tak krótkie i niepełne przedstawienie pokrewieństw i powinowactw wskazuje na to, że formułą bliską Odojewskiemu jest rodzinna saga, dająca sposobność do analizowania skutków osobistych wyborów, rozwikływania rodzinnych tajemnic, procesów dziedziczenia i zrywania z tradycją, trwania domów, w których wzrastają kolejne pokolenia, otoczone pamiątkami i portretami przodków. Tak mogłoby być, ale nie tym razem: w przypadku świata tej powieści saga staje się kroniką bólu, mordu i pożogi. Mimo epickiej rozległości prozy Odojewskiego, trudno się oprzeć wrażeniu, że kres obu rodzin (i światów zbudowanych wokół ich domostw) wydarza się nagle, choć katastrofa rozpisana jest na miesiące, dokonuje się w nienaturalnie, nieludzko szybko.

Jedną z osi kompozycyjnych powieści *Zasypie wszystko, zawieje...* jest historia braterstwa Piotra i Semena. Przed dopiero wchodzącym w dorosłość młodym Czerestwiewskim bliscy długo ukrywali prawdę o jego pokrewieństwie z okrutnym dowódcą ukraińskiego oddziału współdziałającego z hitlerowcami. Gdy wreszcie dowiedział się o tym, był przekonany, że tylko on może i powinien zabić zbrodniarza, przerwać pasmo nieszczęść sprowadzanych przez niego na okolicę.

Tłem losów bohaterów staje się coraz częściej ciemność nocy (ułatwiającej zbrodnię i odwet) i czerwień łun, świadczących o postępach apokalipsy. W takiej nokturnowej tonacji sportretował Odojewski

¹⁰ *Tamten świat*, rozmowa W. Odojewskiego ze S. Beresiem, „Kresy” 2004, nr 3 s. 13–34.

Katarzynę po otrzymaniu przez nią wiadomości o śmierci męża w Katyniu:

Noc tężeje. Ciemność wlewa się przez okna niby gęsta smoła, tylko na widnokręgu, zawieszony nisko u skraju nieba, rudy poblask, który zamiast unosić się wzwyż, opada wolno po bokach i kładzie się na czarnej powierzchni dalekich wertepów, bezsilny i zarazem pozbawiony ciężkości. Łuna gorzejącej gdzieś wsi. A w pobliżu jakby wszystko umarło (ZWZ 80).

Pożar świata wzmógł się momencie, gdy Niemcy wycofali się na Zachód, a ukraińscy nacjonałiści starali się oczyścić kraj z obcych (choć nierzadko obecnych tu od wielu pokoleń...) i opanować terytorium przed wkroczeniem Sowietów. Gleby, majątek Woynowiczów, ukazał Odojewski jako jeden z niezliczonych polskich dworów zniesionych z powierzchni ziemi, gdy po najściu banderowców pozostały zgłiszczona i okaleczone ciała zamordowanych.

Zbrodni popełnionej z takim okrucieństwem i na taką skalę, często wobec znajomych lub krewnych, nie można wytłumaczyć żadną teorią. Tak wynika z monologu Teodora Czerestwińskiego. Ten bohater powieści, po amatorsku zajmujący się nauką: historią i archeologią starożytną, próbował rozważyć wszelkie przyczyny nienawiści. Po namyśle odrzucił względy językowe i narodowe, a także kwestię nierówności materialnych. Splot przyczyn jest skomplikowany i nierozstrzygalny:

Tylko w tandetnych broszurach tych różnych marksistów sprawy te są jasne. [...] Ciemnota, prymityw, barbaria. Kocioł pełen gotujących się, kipiących namiętności. A nad tym kotłem dwóch okrakiem stojących naszych sąsiadów, od zachodu i od wschodu. Każdy z nich proponuje swój prostacki, okrutny i nieludzki ład, wyciągając chciwe łapy, aby dla siebie wyłowić z kotła co lepszy kąsek (ZWZ 218).

Katarzyna jest postacią, której obecność (a także wspomnienie o niej lub podobieństwo do niej innych postaci) łączy wiele utworów Odojewskiego. Pożądana i kochana, pożądana i kochająca, samotna, pogrążona w żalobie, dokonująca wyborów i podlegająca przemocy, uosabia kobiecość silną i subtelną zarazem, odsłoniętą na zranienia i niepoddającą się cierpieniu. Zapewne najbardziej poruszający fragment jej fikcyjnej biografii przedstawił Odojewski w opowiadaniu *Ucieczki* ze zbioru *Zmierzch świata*. Katarzyna, wielokrotnie

gwałcona w niemieckim domu publicznym dla żołnierzy, starała się od fizycznego i duchowego bólu uciec we wspomnienie, odizolować się od świata dzięki pamięci:

Najlepiej to było o tym nie myśleć, wtedy nie czuło się nic – przymknąć oczy, oddychać głęboko i poruszać się bezwolnie: skurcz nóg, skurcz pleców, rozkurcz, znowu skurcz, powoli i mechanicznie – i myśleć o czymś zupełnie, ale to zupełnie innym, a naprawdę nie czuło się prawie nic (*Uciezki*, ZŚ 218).

Ból, wstyd, upokorzenie nigdy się nie skończą. Cień czasu opisanego w krótkim opowiadaniu zawsze będzie towarzyszył czytelnikowi spotykającemu Katarzynę w innych utworach pisarza.

Podobne doświadczenie zawarł pisarz w opowiadaniu *Zapomniane, nieuśmierzone...* (1980) ze zbioru *Bez tchu*. Jak często w prozie pisarza, incydentalne spotkanie, przelotna znajomość wywołały potężną pracę pamięci, szczegółowy i bolesny powrót do młodości narratora w powojennym Szczecinie:

Lata mijają i jest wszystko raz na zawsze pogrzebane. Nie boli. Nawet się nie śni, że mogłoby zabołec. A nagle jakiś przypadkowy dzień, przypadkowe spotkanie, pytanie i wszystko powraca, jakby cały tamten czas paliło się jasnym światłem w ciemności, a jedynie on był ślepy (*Zapomniane, nieuśmierzone...*, BT 228).

Ból mężczyzny wspominającego pierwsze, najważniejsze i utracone uczucie życia łączy się w opowiadaniu z bólem ukochanej Zofii, okaleczonej psychicznie, noszącej w sobie niezagojoną ranę po tym, jak przez trzy miesiące była więziona w domu publicznym dla żołnierzy niemieckich. W losach swych bohaterów Odojewski przejmująco przedstawił dramat bliskości i obcości: wydawałoby się, że powojenna miłość zdoła zagłuszyć cierpienie, ale w relacjach między kochankami zbyt mało było słów, prób zrozumienia, zbyt głęboki był cień przeszłości.

Podobną historię (być może będącą źródłem fabuł opowiadań), związaną z niemieckim zbrodniczym programem Lebensborn, wspominał pisarz w jednym z wywiadów:

Chodziłem do gimnazjum w Szczecinie z o trzy lata starszą ode mnie kobietą, która przeżyła niemiecką maszynę genetyczną. Zbierano w krajach podbitych młode, ładne blondynki i zamykano w takich domach.

Oficerowie używali sobie przez tydzień lub dwa. A potem rodziły się dzieci, które szybko odbierano i rozdawano do niemieckich rodzin na wychowanie. W taki sposób starano się podtrzymać nordycką rasę. Kobiety po jakimś czasie, wycieńczone, zastraszone, zabijano¹¹.

Pamięć bólu zachowują nie tylko ludzie, ale i miejsca. Warto w tym kontekście przywołać opowiadanie *Szkic z morzem i wulkanem*. Posłużył się w nim Odojewski rozwiązaniem fabularnym często – jak już była mowa – przez niego stosowanym, mianowicie przypadkowym spotkaniem z kimś, kto dzieli się swoją opowieścią. Bohater pomógł samotnej, zagubionej kobiecie, która opowiada o swoim bólu i

mówi otwarcie, jakby знаła go od lat, a nie dopiero co znaleziona przez niego została gdzieś w ciemności i jakby musiała jakiś ciężar, może ból z siebie wyrzucić, że tego mężczyznę kiedyś kochała, kochała i straciła go i że po latach, nawet najgorętszemu wspomnieniu zdarza się blaknąć, dlatego też ona tu przywędrowała, aby do tego nie dopuścić, bo gdyby dopuściła, straciłaby go bezpowrotnie (*Szkic z morzem i wulkanem w tle*, BT 313–314).

Ku zaskoczeniu czytelnika okazuje się, że – zgodnie z konwencją literatury grozy – medium przekazującym opowieść o przeszłości jest dom, w którym wydarzyła się tragedia. Bohater opowiadania wybrał na wakacyjny odpoczynek miejsce wiążące się z jego prywatnymi wspomnieniami, nie spodziewając się, że zostaną mu niejako narzucone także cudze reminiscencje. Świat, przekonywał Odojewski, wypełniony jest śladami cierpienia.

3. Miłość

Bohaterowie prozy, doświadczając wielorakich cierpień i mając świadomość, jak potężne siły potrafią sprzysiąc się przeciwko człowiekowi, ocalenia poszukują w intensywnych, trwałych relacjach z drugim człowiekiem.

Czas akcji powieści *Wyspa ocalenia* (powstała w 1950 roku, z ingerencjami cenzury opublikowana została w 1964 roku, a wersji pełnej w nowojorskim „Nowym Dzienniku” na przełomie lat 1972/1973) obejmuje dwa letnie tygodnie 1942 roku. Czytelnik poznaje w niej miejsca i bohaterów, obszerniej opisane później w *Zasypie wszystko*,

¹¹ *Pisarz w kleszczach historii*, s. 28.

zawieje... Skupiając się na losach Piotra Czerestwińskiego, pisarz ukazał moment przejścia z dzieciństwa w dorosłość. W tej opowieści o miłości i wojnie interesujący jest splot bliskości i wrogości, uobecniający się w relacjach Piotra z dwoma krewnymi. Paweł Woynowicz, kuzyn i przyjaciel, stał się rywalem w sporze o kochaną kobietę – Katarzynę. Przed wejściem w rodzinne tajemnice i konflikty trawiące podolską okolicę Katarzyna przestrzegająca Piotra, przybysza z Wielkopolski:

Żyłeś gdzie indziej niż oni wszyscy. Nie jesteś dostatecznie przygotowany na to, co może cię tutaj spotkać. To był dla ciebie tylko sielski kraj dzieciństwa. [...] Kraj zapachów, słońca i rozjaśnionych woskowym blaskiem świec mrocznych sal pełnych portretów, których imiona mówiły o zgasłej, a jednak trwającej potędze. Lecz to wszystko nieprawda. A teraz jesteś już mężczyzną i nie wiem, czy znajdziesz w sobie dość hartu na to, aby – gdy bajka się skończyła – udźwignąć prawdziwy obraz rzeczy i nie zgubić się w nieszczęsnym chaosie tych stron (WO 197).

Treścią książki staje się gwałtowna konfrontacja młodego mężczyzny z tym, co najtrudniejsze. Nie jest to jednak inicjacyjna próba, po której następuje spełnienie, przejście do dojrzałego, harmonijnego życia. Piotr wchodzi w koszmar, coraz gęstszy, coraz bardziej przerażający. A wyspą ocalenia pozostaje jedynie miłość do Katarzyny.

Oksana (Warszawa, styczeń 1964 – grudzień 1967 roku), ostatnia ukończona powieść Odojewskiego, zawiera w sobie wątki węzłowe dla wcześniejszych powieści. Jest to przede wszystkim historia miłości, o tym jednak później, zacząć wypada od pamięci i bólu, gdyż w tej powieści trzy wielkie tematy Odojewskiego splatają się chyba najściślej.

Tworząc fabułę, pisarz oparł się na schemacie drogi, w tym przypadku – ostatniej wędrówki podjętej przez Karola, śmiertelnie chorego Polaka, pracującego na Zachodzie historyka. Podróż przez Włochy rozpoczyna się w Weronie i krętą drogą prowadzi na południe, w kierunku Sycylii. Podróżny bynajmniej nie zatrzymuje się na powierzchni turystycznych atrakcji, dzieła sztuki i historię Italii ma głęboko uwewnętrznione, stąd w Weronie nie przypomina sobie o Julii, ale o Rosemundzie, żyjącej w VI wieku córce króla Gepinów. Jej dzieje związane są z tym, co Karola (i Odojewskiego) zajmuje w przeszłości najmocniej: przemocą, upokorzeniem, zemstą. Potem

przyszła kolej na renesansową Mantuę, którą odwiedza, „poddając się zalewającemu go jak gdyby od stóp do głowy ciepłu i podniosłemu uczuciu szczęścia, że widzi to miasto, że jeszcze widzieć je może” (O 112). Kolejnymi punktami na trasie podróży są Modena, Ferrara, Rawenna, Torre Fortore, Pescara, Manfredonia, Canne della Bataglia, Brindisi, Otranto, Fiumicello Santa Venere, Vibo Valentia, Reggio, Mesyna, Taormina, Katania, Syrakuzy... Każde z miejsc to fragment dziejów, z którym konfrontował się historyk zgłębiający twarde, bezlitosne reguły historii, badający zbrodnie i zbiorowe groby – znaki naszej cywilizacji.

Na tym rozległym tle Karol dokonywał eksploracji także swojej pamięci prywatnej. Świadomy, że umiera, naprzeciw pustki stawiał wspomnienia, wszystko to, co chciałby lub powinien ocalić:

I zachłannie, w pośpiechu, w trwodze zaczął wydobywać z pamięci jakies oderwane od siebie obrazy przeszłości, słowa, zdania, dźwięki, strzępy melodii, błyski czegoś, czego nie potrafił już definiować, nawet dokładnie rozpoznać, ale do czego musiał być kiedyś przywiązany, skoro raz uruchomiony strumień tych strzępów przeszłości już dalej pędził nie do zatrzymania sam, rozsadzając wprost czaszkę (O 13–14).

W tym pospiesznie odkrywanym pokładzie są wiersze, dzieła sztuki, pieśni, wróżby, symbole narodowej historii, w sumie: „nie ostygły popiół minionego czasu” (O 15). Osobiste życie i studiowanie historii złożyły się na potężny bagaż cierpienia.

Karol niósł także brzemień tego, co przekazała mu nieżyjąca żona Paulina. W jej biografii streścił Odojewski doświadczenie Polaków zesłanych podczas wojny przez władze sowieckie do Kazachstanu, zwłaszcza potworny los dzieci. Efektem tego doświadczenia, rzucającego cień na całe życie (jak w przypadku tak wielu dotkniętych wojenną traumą bohaterów dzieł Odojewskiego), jest nieusuwalna, dręcząca nienawiść:

Bo najpewniej to tam właśnie narodziło się w niej to najmocniejsze i najtrwalsze uczucie jej życia, ta zaciekła nienawiść, dająca o sobie tak często później znać, wybuchająca przy wszystkim, co miało coś wspólnego z Rosją, co było Rosji wspomnieniem [...] (O 72).

Na przykładzie Karola Odojewski ukazał inną postawę wobec wywodzącej się z dzieciństwa traumy. Mężczyzna starał się nie tyle

zapomnieć, co w naukowy sposób zrozumieć, połączyć swój los z innymi ofiarami bolszewickich (i innych obecnych w historii) zbrodni, a także z cierpieniem, które w swoim wojennym skoncentrowaniu znowu powróciło, wydarzało się tak blisko, na Bałkanach. Odbywając po wielu latach podróże na Ukrainę, fizycznie doświadczał zacierania się śladów pamięci po świecie, który istniał przed rzezią. Karol myślał o „rozpaczy błąkania się po omacku po śladach świata, który już nie istnieje w rzeczywistości, a tylko w jego pamięci, i o tej gorzkiej wiedzy, że gdy jego pamięć zgaśnie, to i on, ten świat, zgaśnie ostatecznie” (O 370). Co ważne – twierdził tak historyk, świadomy, że najszczęśliwsze i najrzetelniejsze studia historyczne nie są w stanie oddać pełni doświadczenia świadków, uczestników, ofiar.

Na włoskiej drodze Karola połączyło się cierpienie badane przez naukowca, pamiętane przez świadka rzezi wołyńskiej i doświadczone przez chorego. Ciało wystawiane było na ból, atakujący nagle, bez ostrzeżenia, zwalczany jedynie lekami odbierającymi świadomość. O tym ostatnim doświadczeniu swego bohatera pisał Odojewski tak:

Myślał: „Wiele lat myślałeś, że to się zdarza tylko innym, siebie nie brałeś pod uwagę, nie byłeś przygotowany na przyjęcie tego, na zmaganie się – nie z samym momentem końca, ten bowiem zazwyczaj potrafi łagodzić dzisiejsza medycyna, znieczulając ciało, otępiając świadomość, to tak najogólniej – ale z owym zbliżaniem się do tego końca krok po kroku, nieraz dość wolno, tygodniami, miesiącami, kiedy organizm psuje się, przestaje dobrze funkcjonować, rozregulowuje się, jak rozregulowuje się nawet najdoskonalszy mechanizm zegara, kiedy ruch rąk staje się niezręcznym, a chód chwiejny, kiedy zaczynają nużyć, nudzić, mierzić, kiedy stajesz się coraz mniej odporny na uderzenia z zewnątrz, bezbronny. Czy ja zresztą rozumiem śmierć? Czy można w ogóle ją zrozumieć?” (O 125).

W to, że miłość może stać się ocaleniem, Karol nie ośmielał się uwierzyć, gdy poznał Oksanę – urodzoną na Zachodzie, pod Monachium, a później mieszkającą w Kanadzie Ukrainkę. Wątek romansowy powieści jest – przyznać trzeba – obarczony ryzykiem, gdyż czytelnik ma uwierzyć, że w ciągu kilku dni nawiązuje się najważniejsze uczucie w życiu nie nastolatków, ale dwojga doświadczonych ludzi, w dodatku świadomych potwornej historii polsko-ukraińskiej. Karol nie chciał wracać do przeszłości, przekonywał Oksanę, że „lepiej o tym nie mówić. Lepiej nie, lepiej nie...” (O 168), bo przez przypominanie zbrodni ukraińskich nacjonalistów budzi jedynie

nienawiść. Ukochana jednak niejako wymusza na nim wspomnienie, w którym mowa o zbrodniach dokonywanych na oczach dziecka i o ludzkim odruchu: ofierze ze strony Ukraińca, który polskiemu chłopcu uratował życie. Do koszmaru Polaka dodany został w powieści koszmar Ukrainki, która jako dziecko podsłuchiwała wspomnienia weteranów Ukraińskiej Powstańczej Armii i SS-Galizien, sprawców zbrodni. Scena, gdy Oksana zaczyna o tym mówić, jest jedną z najbardziej wstrząsających w powieści. Opowiada nie tylko po to, by zrzucić ciężar, który towarzyszył jej przez całe życie, chce również zrozumieć obecność radykalnego zła w świecie, poczynając od swojej rodziny, a kończąc na Bogu: „Może stąd to wszystko, że tak naprawdę jest to wciąż epoka bez Boga. I wtedy, tam u nas przed pięcioma dziesiątkami lat, i teraz” (O 305). Na argument Karola, że zabija się też w imię Boga, odpowiedziała: „[...] ludzie często myślą Boga z Szatanem...” (O 305).

Wspomnienia, choć tak przerażające, zbliżają kochanków. Karol, im bardziej kochał Oksanę, tym mocniej chciał ją ochronić przed bólem związanym z jego śmiercią, potrafił się – co w jego przypadku wyjątkowe – modlić: „Pozwól mi tę istotę, która jest samą prawością i dobrocią, od siebie oddalić, żeby jej pamięci nie obciążała jeszcze i moja śmierć. Pozwól mi umrzeć w samotności. Wymaż mnie z jej pamięci” (O 450). Oksana, oczywiście, nie wyobrażała sobie, że mogłaby go zostawić, intencją Odojewskiego było przedstawić uczucie spełnione, swoistą komunię dusz.

Zakończenie *Oksany* – jednocześnie niespodziewane, nieuniknione i nieodwołalne – jest symbolicznym zwieńczeniem twórczości Odojewskiego. Pisarza, który nie daje o sobie zapomnieć i który uczy pamiętać. Po przestrzeni pamięci, bólu i miłości swoich bohaterów oprowadza czytelników bardzo uważnie, niespiesznie. Jak chyba żaden inny z polskich pisarzy przełomu XX i XXI wieku potrafił połączyć głębię obserwacji psychologicznych z ujęciem związku indywidualnych losów z wielką, nieodległą historią. To pisarstwo, które ocala prawdę o ludzkim doświadczeniu, o nieuśmierzonemu bólu.

Wiesław Ratajczak

Rozdział III

Rzeczy ostateczne człowieka Interpretacje wybranych utworów

W niniejszej publikacji przedstawiamy dwa opowiadania Włodzimierza Odojewskiego: *Ikonka Siergija* i *Nie można cię samego zostawić o zmiernychu* oraz trzeci rozdział najbardziej znanej powieści pisarza, czyli *Zasypie wszystko, zawieje...*, zwany „katyńskim”. Wybór był motywowany zarówno potencjałem dydaktycznym tych dzieł, jak i ich wysoką wartością artystyczną oraz reprezentatywnością na tle całej twórczości autora cyklu podolskiego. Szczególnie ciekawe powinny być one dla młodego czytelnika, który podobnie jak bohaterowie *Ikonki Siergija* i *Nie można cię samego zostawić o zmiernychu* po raz pierwszy styka się z prawdą na temat okrutnych wydarzeń z historii Polski i krajów z nią sąsiadujących, zmagając się jednocześnie z problemami swojego okresu dojrzewania.

Poniższe interpretacje mają na celu przybliżenie kontekstu biograficzno-historycznego omawianych dzieł, przedstawienie kluczowych wątków, zarysu fabularnego i kluczowych cech warsztatu prozatorskiego Włodzimierza Odojewskiego, przejawiających się w tych tekstach. Stanowią jednocześnie propozycję odczytania niektórych sensów wpisanych w wymowę wybranych opowiadań i fragmentu *Zasypie wszystko, zawieje...* Wskazują też punkty wspólne między nimi – poetologiczne, fabularne czy światopoglądowe. Jak zauważa bowiem wielu badaczy twórczości Włodzimierza Odojewskiego, jego pisarstwo jest spójne pod względem tematów i sposobów ich wyrazu, choć oczywiście można wyznaczyć różne etapy twórczości tego pisarza. O tym jednak szerzej jest mowa we wcześniejszej części publikacji, a więc w syntetycznym omówieniu pisarstwa autora *Oksany*. Ta część stanowi zaś komentarz do egzemplifikacji jego twórczości. Mam nadzieję, że będzie ona dla czytelników inspiracją do własnych przemyśleń interpretacyjnych.

I. *Ikonka Siergija*. Ścieranie kurzu niepamięci

Ikonka Siergija jest w twórczości Włodzimierza Odojewskiego opowiadaniem szczególnym. Wydawać się może, że to tylko krótki zapis

wspomnienia z lat młodości pisarza, sporządzony ku pamięci przyjaciela Zygmunta Imbierowicza, ale po jego kilkukrotnej lekturze można zauważyć zniuansowanie pod względem treści i formy w zestawieniu z innymi opowiadaniem Odojewskiego. To dzieło literackie w miniaturze stanowi interesujący dialog z determinizmem historycznym i wojenną reifikacją jednostki oraz posiada misternie prowadzoną narrację. Pomimo pozornej prostoty i nieco sentymentalnego nastroju mówi ono wiele na temat egzystencji człowieka, jego relacji z przedmiotami i tożsamościowej roli pamięci.

Napisana w grudniu 2000 roku *Ikonka Siergija* została opublikowana po raz pierwszy w zbiorze opowiadań Włodzimierza Odojewskiego *Bez tchu* (Warszawa 2002), a następnie osobno, w postaci oddzielnej książki (Poznań 2009). Jest ona związana z kłeckim epizodem w biografii pisarza. Dziewięcioletni Odojewski razem z matką Genowefą Jasińską i siostrą Marią na czas niemieckiej okupacji przeniósł się z Poznania do Kłocka, które w jego twórczości pojawia się jako „miasteczko K.”. W Kłocku mieszkali dziadkowie autora *Oksany* od strony matki – Weronika i Michał Zawodni. Jest to miasteczko położone niedaleko Gniezna, w województwie wielkopolskim. Na początku drugiej wojny światowej brało ono aktywny udział w kampanii wrześniowej (w odwecie Niemcy rozstrzelali kilkuset mieszkańców), a po wyzwoleniu z okupacji niemieckiej Sowietci dopuszczali się w nim gwałtów i rabunków. W Kłocku po raz pierwszy przyszedł pisarz doświadczyć okrucieństwa wojny, które stało się jednym z głównych tematów jego prozy. To w tym mieście również poznał Zygmunta Imbierowicza, z którym od lutego 1943 roku należał do zakonspirowanej IX Drużyny Harcerskiej. Później, 3 maja, tak jak przyjaciel stał się Odojewski członkiem Szarych Szeregów. Latem 1944 roku Gestapo zatrzymało cały zastęp i czternastoletni Odojewski razem z Imbierowiczem znalazł się w areszcie w Gnieźnie. Staraniem matki Włodzimierza i dzięki interwencji niemieckiej linii rodziny Zawodnych chłopcy zostali wykupieni i zwolnieni z więzienia. Przebywali w nim zaledwie trzy dni, ale zapadły one na zawsze w ich pamięci. W wywiadzie z Krzysztofem Maślaniem na pytanie o powód aresztowania Odojewski odpowiedział następująco:

Wszystkich nas aresztowano w lipcu 1944 roku. Wcześniej już, na wiosnę, pewnemu Niemcowi nie spodobało się, że – taki duży chłopak – szwendam się bez zajęcia, i zrobił na mnie donos. Wtedy Arbeitsamt¹ interesował się już i młodszymi ode mnie. Żeby mieć spokój, znalazłem zajęcie w aptece czy raczej drogerii, bo ważyłem tam karbid, naftę nalewaliśmy chłopom z baniaka, ten nieszczęsny proch też wtedy zacząłem kombinować. Do kogo chcieliśmy strzelać, dziś nie mam pojęcia, pewnie tylko to, że do Niemców. Natrafiłem na jakiś przepis, potrzebna była siarka, węgiel drzewny, jakiś trzeci składnik. Boże, przebac. Przesiadaliśmy na strychu na okrągło i w końcu musiało się to skończyć tak, jak się skończyło. Policja przyjechała do mnie rano razem z dwoma gestapowcami, przeprowadzili rewizję, na szczęście niedokładną. Na strychu znaleźli bowiem skórę, którą ciotka, jadąc po drodze do Katynia, przywiozła mi na buty. Wymarzone, pod kolana, oficerki... Nie sprawdzili, co tam jeszcze było schowane za tą skórą i głównie o nią wypytywano mnie na gestapo².

Odojewski i Imbierowicz w czasie przesłuchań próbowali bronić się, powtarzając: „Bawiliśmy się w wojnę”. Liczyli na to, że ich działania konspiracyjne zostaną uznane za chłopięce zabawy. Jednakże w opowiadaniu *Ikonka Siergija* wojna wcale nie jawi się jako zabawa, lecz jako źródło zła i traumatyczne przeżycie, chociaż jego głównymi bohaterami są kilkunastoletni chłopcy.

Nie bez powodu powyżej zarysowałam historyczno-biograficzny kontekst opowiadania. Ma ono bowiem charakter autobiograficzny. Miejscem wydarzeń jest Kłeczko – „około półtoratysięczne miasteczko K., wciśnięte między rzekę, raczej strumień, i dwa sąsiadujące ze sobą jeziora, które ten strumień łączy” (IS 5) – a akcja toczy się zimą 1944 roku – „Otóż krótko przed Sylwestrem albo może zaraz w pierwszych dniach stycznia, nie mam pewności, pamięć zawodzi, w każdym razie pięć albo sześć dni po przewaleniu się przez miasteczko frontu, błyskawicznie przesuującego się wtedy dalej na zachód” (IS 6). Narrację snuje chłopiec, którego można utożsamiać z młodym Włodzimierzem Odojewskim. Jest on jednocześnie bohaterem opowiadanej historii, razem z towarzyszącym mu od pewnego

¹ *Arbeitsamtami* nazywano nazistowskie urzędy pracy. Na okupowanych ziemiach polskich zajmowały się one głównie egzekwowaniem narzuconego Polakom przymusu pracy oraz dostarczaniem pracowników na roboty przymusowe do Niemiec.

² W. Odojewski, K. Masłoń, *Bawiliśmy się w żołnierzy*, „Rzeczpospolita” 2006, nr 205, s. A12–A13.

momentu Zygmuntem, w którym można domyślić się poddanej literackiej obróbce postaci Imbierowicza. Tym samym Odojewski nie tylko zadedykował opowiadanie swojemu przyjacielowi, ale również uczynił go bohaterem literackim. Ponadto to Zygmunt, który „wszędzie był pierwszy, istna kronika wydarzeń” (IS 7), najprawdopodobniej poinformował „chłopaków z paczki” o ponownym pokazaniu się w miasteczku pokonanych Niemców. Na polecenie Sowietów przygotowywali oni do oględzin trupy radzieckich żołnierzy, które następnie były przeszukiwane w celu zrewidowania kosztowności i ustalenia tożsamości ofiar. Patrząc na Niemców pracujących przy zwłokach na rozkaz Sowietów, narrator doznał niespodziewanego dla siebie uczucia:

[...] zdumiewające, choć sporo rozmyślałem o tym i wtedy, i później, to nie mogłem dojść istoty tej przemiany, bo jeszcze niedawno mogli twardą łapą walnąć w twarz, że nie zdjęło się czapki albo nie schodząc na jezdnię nie ustąpiło z drogi, a tu nagle tyle czegoś takiego zwykłego w twarzach, jak u normalnych ludzi, prawie zrobiło mi się ich żal! (IS 10)

Narrator zatem nieświadomie dokonał humanizacji swoich wrogów, po raz pierwszy od czasu wojny Niemcy i on patrzyli na siebie jak na ludzi. Dlatego powstrzymał się przed powiedzeniem Głębockiemu kierującemu grupą Niemców pełnej prawdy o tym, co stało się z jego najstarszą córką, która została wykorzystana seksualnie przez Sowietów – „pod psim spojrzeniem Głębockiego zmięknęłam; oto jaki był ze mnie wtedy zasraniec” (IS 11). Nie chciał mu sprawić przykrości, ponieważ „w ich ruchach była jakaś ostrożna układność, czujność, pokora, a może nie pokora wcale, uniżoność raczej, coś w tym rodzaju” (IS 10). Zrezygnował z zemsty, choć wiedział, że mógłby wykorzystać tę sytuację, aby odplacić się okupantom za doznane z ich strony cierpienia i upokorzenia.

Uwagę narratora przykuły zwłoki sowieckiego młodzieńca – „jak to tak, nie do pojęcia, umrzeć jak zastrzelone na polowaniu zwierzę, w tym wieku, jeszcze chyba szkolnym, absurd, tak myślałem ze złością, pamiętam” (IS 12). Śmierć chłopca niewiele starszego od siebie wywołała w nim bunt, niezgodę na zwierzęce prawa wojny, które niszczą dopiero co kształtujące się jednostki. Ciało tego anonimowego młodzieńca również zostało obszukane przez jego rodaków.

Znaleźli przy nim między innymi woreczek z kawałkiem drewna, które jeden z żołnierzy wydobył i

[...] oglądał przez chwilę z dezaprobatą w twarzy, potem podał jednemu ze stojących obok, widząc starszemu nad nim ze słowami, których ani ja, ani Zygmunt nie zrozumieliśmy, a tamten, nie oglądając wcale dłużej, cisnął to coś za siebie daleko w śnieg, jakby go sparzyło w dłoń (IS 14).

Okazało się, że chłopiec ów miał przy sobie prawosławną ikonkę. Narrator i Zbigniew odszukali ją w śniegu, zdziwieni faktem, że Sowieci ze wstrętem ją odrzucili. Nie rozumieli powodu takiego zachowania. Chcieli jednak wszystko, co działo się wokół, dobrze zapamiętać, mając poczucie, że ich prywatna historia w tym momencie splata się z Historią przez wielkie „H”, a więc całego świata, i że znaleźli się w punkcie przełomowym dla ludzkości. Towarzyszyło im przy tym wrażenie łączliwości z przeszłymi pokoleniami oraz tragizmu swojego losu. Narrator stwierdził: „Że doświadczamy wszystkiego, co nasi dziadkowie i pradziadkowie, tyle, że wzmożonego, okrutniejszego, prymitywniejszego i jednocześnie bardziej wyrafinowanego, próbującego zniszczyć w nas dusze” (IS 15–16). W związku z tym nasuwa się myśl, że być może ta tytułowa ikonka symbolizuje duchowe pragnienia młodych ludzi, które przez wojnę i inne okrutne wydarzenia historyczne nie mogą się zrealizować, są tłamszone.

Ikonka była bardzo stara, a matka narratora sklasyfikowała ją jako jarmarcznię, zwykłą, biedną. Na jej odwrocie wyryto imię Siergija. Narrator odczytał je po latach, kiedy nauczył się podstaw cyrylicy. Doszedł na tej podstawie do wniosku, że należała ona do Siergija, ale niekoniecznie był nim ów zabity młodzieniec.

Fabuła opowiadania urywa się w momencie zabrania przez narratora ikonki i powrotu chłopców do domów. Ostatnia część opowieści to zaś opis wędrówki tego przedmiotu razem z narratorem, który bardzo o ikonkę dbał i wszędzie zabierał ją ze sobą, dopóki nie znalazła swojego stałego miejsca w jego zagranicznym mieszkaniu. Od czasu do czasu prowokowała go ona do stawiania pytań o życie chłopca, którego zwłoki widział. Czy ktoś mu dał święty obrazek, a jeśli tak, to kto? Skąd młodzieniec pochodził? Jak to się stało, że system sowiecki nie wypleniał w nim wiary w Boga? Czy naprawdę

był wierzący? Miał na temat losu i charakteru chłopca wiele przypuszczeń, które z czasem poniechał, uznając, że ważniejsza jest sama pamięć o przeszłych wydarzeniach. Narrację prowadzi bowiem Odojewski z perspektywy człowieka dorosłego. Stąd takie zdanie kończące opowiadanie: „Szkoda, że tymi myślami nie mogę już dziś podzielić się z Zygmuntem” (IS 20).

Ikonka Siergija posiada zgrabną klamrę kompozycyjną, która wyjaśnia motywy napisania tekstu oraz sposób jego zapisu. Powodem jego powstania była kluczowa w twórczości Włodzimierza Odojewskiego kategoria pamięci i chęć wyrażenia „ból, który oczyszcza”. Część badaczy Odojewskiego zauważa w jego powieściach i opowiadaniach swoistą apoteozę pamięci. Na przykład Andrzej Więckowski pisze:

Na kartach twórczości Odojewskiego jednym z najczęstszych słów jest „przypomnienie”. Jego bohaterowie częściej przypominają sobie wydarzenia, niż w nich „teraz uczestniczą”. Wydarzenia ukazane są nie w bezpośrednim opisie, lecz wraz z sytuacją przypominania sobie o nich, wraz z wysiłkiem pamięci. Świat bowiem, wedle fundamentalnego dla Odojewskiego założenia, ma swój sens i znaczenie w przemijaniu albo inaczej: sens i znaczenie dopiero w przemijaniu się ujawniają³.

To „przypominanie” oraz dbanie o pamięć losów zbiorowości i jednostki w obliczu zmiennych wiatrów historii stanowi u Odojewskiego ontologiczną podstawę życia i daje możliwość uchwycenia go w całej jego niesamowitości, a nawet „nieziemskości”. Ponadto, jak stwierdza Więckowski, pamięć to dla autora *Czasu odwróconego* „sposób uwewnętrznienia człowieczeństwa, jako swego rodzaju ramy przeżywania tragicznego”⁴. Trudno się z tym nie zgodzić, już same tytuły książek i pojedynczych opowiadań pisarza wskazują na dążenie do łączenia pracy pamięci z obroną humanistycznego świata wartości i próbą wyrażenia indywidualnego doświadczenia historii, na przykład *Zabezpieczanie śladów; Zapomniane, nie- uśmierzone...; Zasypie wszystko, zawieje...; Chwila gałązki wawrzynu; Wyspa ocalenia; Spisywane z pamięci*. W przypadku omawianego

³ A. Więckowski, *Metafizyka pamięci* [w:] *Odojewski i krytycy. Antologia tekstów*, s. 234.

⁴ Tamże, s. 235.

opowiadania *Ikonka Siergija* utrwalenie odbywa się poprzez odwołanie do przedmiotu o charakterze sakralnym. Dlaczego? Ikonka funkcjonuje tutaj na dwóch poziomach. Z jednej strony to przedmiot, który inicjuje proces przypominania i wyzwala w narratorze zdolność snucia opowieści (nasuwa się w tym kontekście *Kamizelka* Bolesława Prusa), a więc należy do świata wewnątrztekstowego, bo i opowiadacz to jednocześnie bohater. Z drugiej strony „ikonką” zostało nazwane całe opowiadanie – tytuł może autotematycznie wskazywać na obrazowość literatury, która staje się „przedmiotem” do oglądania i jednocześnie traktowana jako „obiekt” czy wręcz „pamiątka” sama przechowuje pamięć o wydarzeniach i ludziach oraz uruchamia proces wspomnienia zbiorowego lub pełni funkcję edukacyjno-uświadamiającą. Zdrobnienie „ikonka” również rozumieć dwojako – to zarówno odwołanie do małego rekwizytu będącego elementem świata przedstawionego opowiadania, jak i potraktowanie dzieła literackiego jako „ikonki” – drobiazgu odsyłającego do czegoś poza nim samym, także w funkcji świadectwa. Tym samym można dochodzić do wniosków ogólnych i uniwersalizujących doświadczenie pojedynczego człowieka.

Ciekawe jest to, że Włodzimierz Odojewski w *Ikonce Siergija* przejawia chęć reporterskiego zapisu, którą zawarł już w pierwszym akapicie opowiadania:

Chciałbym utrwalić pochodzenie tego drobiazgu jak najprościej. I z nim związane wydarzenia. Oraz tych wydarzeń świadka – Zygmunta. Żadnych ozdobników, sucho, rzeczowo, tyle jedynie, ile przechowowała pamięć, no, nie tak znowu wiele, minęło przecież z górą ponad pół wieku; może jednak warto, spróbuję (IS 5).

Pomimo tego, że Odojewski faktycznie miał doświadczenie dziennikarskie i przykładał dużą wagę do oddania realiów opisywanych terenów i poprawności historycznej, jego styl jest bardziej literacki niż dziennikarski. Porównywano go nawet z prozą amerykańskiego pisarza Williama Faulknera. Odojewski znany jest z kunsztownej narracji strumieniowej, cechującej się długimi zdaniami wielokrotnie złożonymi, przedstawianiem głębi psychologicznej postaci, a także z opisywania piękna kresowej przyrody. Zbigniew Bieńkowski nazwał jego prozę „odojewszczyzną”, wskazując także na rolę

przestrzeni i przemieszania etnicznego, religijnego, kulturowego i rasowego ukazanego w jego powieściach i opowiadaniach⁵. Skąd więc takie postanowienie: „żadnych ozdobników, sucho, rzeczowo, tyle jedynie, ile przechowała pamięć” w odniesieniu do narracji *Ikonki Siergija*? Wynika ono z dążenia do zrelacjonowania tylko jednego wydarzenia, być może zbliżenia się do gatunku noweli. Ponadto pięćdziesięcioletni dystans wiąże się z ryzykiem pominięcia niektórych istotnych faktów w przypadku zastosowania rozwlekłej prozy. Tego najwidoczniej Odojewski chciał uniknąć. Stąd obecność w opowiadaniu zdań samodyscyplinujących narratora, który dąży do jak najdokładniejszego utrwalenia wspomnienia – „Więc najpierw tło”; „Teraz pora”; „I jeszcze kilka dodatkowych informacji dla tej historii niezbędnych”; „W końcu małe wprowadzenie do akcji”; „Ale do rzeczy i po kolei”. Są one zabiegiem porządkującym w innych tekstach literackich Odojewskiego niespotykanym. Pokazuje to, że Odojewski chciał zespolić treść z formą – stworzyć mikrohistorię dziejącą się w niewielkiej miejscowości i w zwięzły sposób przedstawić wydarzenie na pozór nieistotne i mało znaczące, tak samo jak ikonka należąca do nieznanego młodego żołnierza, aby dać do zrozumienia, że Historia składa się z wielu prywatnych historii. Nośnikami pamięci o nich są zachowane przedmioty i teksty literackie.

Poza tym Odojewski często bohaterem opowiadań czynił dorastającego chłopca, który po raz pierwszy stykał się z rzeczywistością wojenną, przyspieszając w ten sposób swoje wejście w dorosłość. Tak jest w omawianej *Ikonce Siergija* czy w *Sezonie w Wenecji* i w *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu* z tomu *Jedźmy, wracajmy...* Być może miało na to wpływ wydarzenie z biografii pisarza – w 1943 roku w czasie wakacji na Wschodnich Kresach Polski młody Odojewski był świadkiem mordów dokonywanych przez Ukraińską Powstańczą Armię na polskiej ludności cywilnej. Oglądał spustoszoną ziemię podolską, poznając zarazem makabrę czystek etnicznych, także z opowieści osiedlonych w tych stronach członków rodziny. Ten podolski epizod w biografii Odojewskiego znalazł się nie tylko u początków jego debiutu prozatorskiego *Wyspa ocalenia*,

⁵ Zob. Z. Bieńkowski, *Odojewszczyzna* [w:] *Odojewski i krytycy. Antologia tekstów*, s. 238–241.

ale i wzbogacony wieloletnimi studiami pisarza nad historią wojny na Kresach dał materię fabularną szeregowi opowiadań i powieści. Stał się dla niego „kamiennym światem, który ciąży i boli”. Rzeź wołyńska, zbrodnia katyńska, Holocaust i inne wydarzenia w czasie drugiej wojny światowej są jednymi z najważniejszych tematów jego prozy. Patrząc na nie z perspektywy chłopca, Odojewski mógł je uchwycić w dzianiu się oraz przedstawić z dużą liczbą szczegółów, a jednocześnie uniknąć komentowania, w którym specjalizują się ludzie dorośli. Dziecko bowiem skupia się na intensywnym przeżywaniu tego, co dzieje się wokół, dzięki czemu późniejszy dorosły może przywoływać różne obrazy z dzieciństwa. Według Odojewskiego powinien on jednak uważać z ich tłumaczeniem, ponieważ nie jest ono możliwe ze względu na dużą liczbę przypuszczeń. Lepszym rozwiązaniem wydaje się pielęgnacja pamięci o przeszłości, w tym o ludziach, którzy odeszli. Dlatego pod koniec *Ikonki Siergija* narrator mówi:

[...] nieraz w pewnym wieku bywa, że przywołujemy przed oczy wyobraźni obrazy z przeszłości, zwłaszcza z czasów dzieciństwa i młodości, z niewiarygodną wprost wyrazistością i aż bolesną jasnością, mało możliwe natomiast z tą samą jasnością wydaje się ich wytłumaczenie – przypuszczenia mnożą się, stają się chwiejne, niepewne lub wieloznaczne, zostawmy więc to całe wydarzenie i jego prowadzący w przeszłość ślad i tego śladu trudne do odtworzenia dzieje bez żadnych komentarzy, tak będzie najlepiej. Najważniejsze, ażeby zbyt szybko nie przepadły w nieodparcie podpełzającej niepamięci, nie zginęły w czarnej nicości (IS 20).

2. Nie można cię samego zostawić o zmierzchu.

Rozpad dziecięcego świata

Ikonka Siergija ma punkty wspólne z innymi dziełami literackimi Odojewskiego. W twórczości pisarza można by wyróżnić opowiadania o dojrzewaniu, przedstawiające inicjację głównego bohatera. W przypadku *Ikonki Siergija* byłaby to inicjacja związana z przejściem do świata dorosłych, który jest światem wojny i śmierci. Przy czym opowiadanie to ukazuje taką samą prawdę jak wiele innych dzieł literackich Odojewskiego, w tym tom *Jedźmy, wracajmy...*, a którą Przemysław Czapliński określił następująco: „uniwersalna prawidłowość niszczącej ingerencji historii, która wkracza w życie człowieka właśnie wtedy, gdy przystępuje on do pierwszego

rozpoznawania sensu świata⁶. Badacz zauważył ponadto, że schemat opowiadań inicjacyjnych autora *Czasu odwróconego* ma podwójny wymiar: wtajemniczenia w sens i wtajemniczenia w zło. Co więcej niektóre z nich splatają ze sobą dwa doświadczenia: poznanie kobiecego ciała i poznanie okrucieństwa. Dzieje się tak w *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*. Z tego powodu główny bohater tego opowiadania, dwunastoletni Marek, przeżył kryzys psychiczny, który fizycznie objawił się gorączką. Czaplinski pisze o Marku: „żywy pozostanie w nim impuls nieskończonego odtwarzania przeszłości, imperatyw zrozumienia wszystkiego, co w tym doświadczeniu się skryło, i wymóg wypracowania języka, w którym ową całość wypowie”⁷.

Nie można cię samego zostawić o zmierzchu to opowiadanie, które ukazało się w dwóch edycjach zbioru *Jedźmy, wracajmy...* W pierwszym z 1993 roku obok takich opowiadań jak *Godzina albo pół*, *Ostatnia zima przed potopem*, *Grzech*, *Spisywane z pamięci*, „*Niech już Pan idzie*”, *Jedźmy, wracajmy...*, *Zobaczył pokój, w którym umarł* oraz w drugim o nieco zmienionym tytule „*Jedźmy, wracajmy*” i inne opowiadania z roku 2000. Ten drugi zbiór został wzbogacony o opowiadania *Sezon w Wenecji*, *Koń pułkownika*, *Cyrk przyjechał, cyrk odjechał*, *Swoi i obcy* oraz *Ogród pełen światła*. Z omawianego opowiadania reżyser Jan Jakub Kolski w filmie *Wenecja* (2010) wykorzystał scenę rozmowy Marka z kuzynką Karolą w trakcie przymierzania przez nią sukien babci. Jest ona kluczowa dla *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*.

Dlaczego? Zaczniemy od początku. Pierwsze zdania opowiadania od razu mówią nam o doświadczeniu, które przeżył główny bohater opowiadania i wstępnie je charakteryzują: „Nagość kobiet. Pierwszy raz widział ją u schyłku tamtego lata, kiedy front przesunął się tak daleko na wschód, że nawet najśłabsze jego echo nie docierało do miasteczka” (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 97). Zwróćmy uwagę na dystans, który się w nich pojawia. Konstrukcja dopełniaczowa „nagość kobiet” wskazuje, że chodzi nie o intymny kontakt z bliskimi sobie kobietami, lecz o nagość traktowaną

⁶ P. Czaplinski, *Pamięć i rozpacz* [w:] Odojewski i krytycy. *Antologia tekstów*, s. 187.

⁷ Tamże.

w sposób ogólny, o ciała kobiet pojmowanych jako anonimowa masa. Drugie zdanie kładzie nacisk na zmysł wzroku. Podobnie jak w *Ikonce Siergija* mamy tutaj do czynienia ze swego rodzaju podglądaniem czy obserwowaniem. Tym razem jednak narracja nie jest pierwszoosobowa, lecz trzecioosobowa, co jeszcze bardziej uwidacznia wspomniany przed chwilą dystans. Można stwierdzić, że funkcjonuje kilka jego rodzajów, ale bywa też pozorny. Po pierwsze, jest to dystans rozumiany fizycznie, biologicznie. Marek ze starszym bratem Wiktoorem zwabieni odgłosem „dalekiej strzelaniny” podkradli się pod stary fort ziemny z czasów pierwszej wojny światowej i teren dawnej piaskarni, gdzie dokonano mordu na miejscowych Żydach i Romach. Szczególnie ich uwagę przykuły zwłoki kobiet: „Leżały obmyte z krwi, z ziaren piasku, z ziemi, okrutnie zamęczone, okaleczone, nieme na zawsze” (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 102). Widzieli je z daleka i jakiś czas spędzili z twarzami ukrytymi w trawie skarpy, bojąc się zauważenia przez Niemców. Ciekawe jest to, że poza kilkoma zdaniami („Bo one były bez piersi, w tych miejscach zaś postrzępiona skóra odsłaniała sinoszkarłatne płaty mięsa i wyglądały strasznie” [*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 97]) Odojewski oszczędza czytelnikowi dokładnego opisu ciał. Uzasadnieniem tego mogłaby być niepewność Marka, który nie wiedział, czy ciała te na pewno zobaczył, a jeśli tak, czy widział wszystko dobrze i

wcale nie myślał o nich, leżących, tam w głębi, ale o matce, o ciotkach, o kuzynce Karoli, o tych wszystkich kobietach i dziewczętach, które jeszcze żyły, a które znał, lubił lub kochał, na które kiedykolwiek był przedtem patrzył i których był dotykał, jeżeli o wszystkich nich mógł rzeczywiście myśleć w tej jednej minucie albo dwóch, zresztą półprzytomny ze strachu (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 102–103).

Tym samym Marek od razu odniósł zobaczony przez siebie widok martwych ciał do żywych kobiet dobrze mu znanych, bliskich, „których był dotykał”. Nie potrafił więc całkowicie się od tego obrazu zdystansować. Dlatego też przez wiele kolejnych tygodni zamykał się w sobie, nie mógł spać, funkcjonował jak człowiek ogłuszony, czuł jakby wszystko w nim umarło. Jednakże z czasem zbuntował się przeciwko swojemu apatycznemu stanowi. Spróbował zachować dystans psychiczny wobec tego wydarzenia, nie rozmawiał z bratem

ani z nikim innym o tym, co zobaczył, i „może by mu się nawet w końcu udało, skoro tak bardzo chciał, zapomnieć zupełnie, gdyby nie Karola” (*Nie można cię samego zostawić o zmiernu*, JW 104).

Karola była o półtora roku starszą krewną Marka, która właśnie zaczęła dojrzewać i z tego powodu zachowywała się kapryśnie i wyzywająco, czego chłopiec nie rozumiał, uznając jej postępowanie za pozę i drwinę z siebie jako młodszego od niej, a więc bardziej dziecinnego. Mimo jej zachowania lubił kuzynkę. Pewnego zimowego dnia, pod koniec adwentu, z powodu gorączki zamiast pójść z rodziną na roraty, Marek został w domu, sądząc, że oprócz niego wszyscy udali się do kościoła. Wkrótce okazało się jednak, że razem z nim w domu została Karola, która wykręciła się od pójścia na mszę roratną rzekomym bólem gardła. W rzeczywistości chciała zająć się przymierzaniem starych sukien babci, na co uzyskała jej pozwolenie, ponieważ potrzebowała kreacji na jasełka, w których miała grać Matkę Boską. Dziewczynka przekonała chłopca, by towarzyszył jej przy tej czynności. Zgodził się na to chętnie, ponieważ czuł się bardzo samotny. Słyszał wszystkie odgłosy domu, co wywołało w nim niepokój. Stąd poniższy opis stanu psychicznego Marka połączony z opisem przyrody; na jego podstawie można stwierdzić, że Odojewski w mistrzowski sposób potrafił oddawać stany psychiczne swoich bohaterów. Zamrożony, nieruchomy krajobraz zimowy idealnie współgra tutaj z niemożnością podjęcia jakiegokolwiek działania, którą czuł bohater.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem czuł taki bezwład w sobie, aż taką dotkliwą samotność. Na dworze tężała sucha, srebrząca się mgła, na drzewach grubymi czapami ciążył biały puch i cienie od gałęzi kładły się na śnieżną ponowę w dole, bladoniebieskie, wydłużające się i pogłębiające. Nie było wiatru, była cisza i cały świat jakby zastygł zmrożony i zmartwiał, a on Marek, tkwił wciąż przy oknie w jadalni, przygotowana zaś przez babkę herbata z malin dawno wystygła (*Nie można cię samego zostawić o zmiernu*, JW 105).

Jak zauważa Dorota Krzywicka, wiele dzieł Włodzimierza Odojewskiego to studia psychologiczne człowieka samotnego i małomównego. Samotność połączona z małomównością jawi się w jego twórczości jako sposób bycia, choć jednocześnie bohaterowie, którzy celowo lub nieświadomie odcinają się od społeczeństwa, są uważnymi

obserwatorami rzeczywistości, niejako „przeżywają” ją z bolesnym namysłem. Potrzebują jednak kogoś, kto wyrwie ich z marazmu. Taką osobą dla Marka była Karola. Z drugiej strony, według Krzywickiej w opowiadaniu *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu* „gorączka szoku po niedawnym doświadczeniu okrucieństwa wojny dwunastoletniego chłopca potęguje się jeszcze, zamiast uśmierzyć, po pastelowo-subtelnych zalotach kokietującej go kuzynki”⁸. W takim razie wspólne oglądanie z Karolą kobiecych ubrań było dla Marka doświadczeniem pozytywnym czy negatywnym?

Najpierw warto wziąć pod uwagę fakt, że Marek czuł się dobrze w otoczeniu różnych kobiecych fatalaszków, chłonał sytuację wszystkimi zmysłami („robiło wrażenie tajemnicze i niezwykle”, „z otwartej babcinej szafy szedł przyjemny, trudny do nazwania zapach” [*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 112]), choć jednocześnie nie wiedział, jak ma się zachować, był trochę skrępowany. W końcu nie znał się na sukniach i nie umiał kuzynce doradzić, która najlepiej na niej wygląda i najbardziej pasuje do roli Matki Boskiej. Przy czym scena ta dzieje się w półmroku i łączy młodość ze starością oraz *sacrum* i *profanum*. Rozgrywa się bowiem w pokoju babci z różnymi starymi sprzętami i zdjęciami, a przebywają w nim dzieci. Być może dlatego Marek uniezwykła to miejsce, ożywia, nadaje mu baśniowy charakter, o czym świadczy chociażby taki poetycki fragment z porównaniami-animizacjami:

Szafa, komoda, łóżko babki, stół, nawet fotel były jak śpiące, ociężałe, leśne zwierzęta, krzesła przypominały odpoczywające na ziemi z opuszczonymi skrzydłami ptaki, a bujany fotel z giętkich prętów bambusa wspinał się jak jeleń do skoku (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 112).

Potęguje on wrażenie oniryczności tej sceny. W pewnym momencie Marek stracił nawet na chwilę kontakt z rzeczywistością, pomimo tego, że bardzo starał się nie zasnąć. Ponadto w jego umyśle przeobrażeniu uległy nie tylko meble, ale i postać kuzynki – widział ją „szczuplejszą, większą raptem niż zawsze, doroślejszą, tak mu się

⁸ D. Krzywicka, „Samotność – cóż po ludziach” [w:] *Odojewski i krytycy. Antologia tekstów*, s. 180.

przynajmniej zdawało, i dalszą” (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 115). Zaczęła się też ona w wyobraźni chłopca

nagle przeobrażać w kogoś zupełnie innego i oddalać od niego, przypominać do złudzenia postać ze starej fotografii albo portretu, stając się jeszcze bardziej daleką i niezrozumiałą w tym, czego od niego oczekiwała [...] (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 115).

W tym opowiadaniu Odojewskiego pojawiają się więc kolejne rodzaje dystansu – płciowy i pokoleniowy. Są one źródłem fascynacji Marka i niejako łączą się w postaci Karoli, która jako dojrzewająca dziewczynka staje się bliższa świata babci. Pomimo pozorowanej śmieszności sceny przymierzania przez nią niemodnych sukien dziewczyna przechodzi inicjację – staje się kobietą, a ponadczasowym symbolem kobiecości są właśnie suknie. Można by więc stwierdzić, że Marek był świadkiem rytuału przeistaczania się w kobietę. Rytuał ten pozbawiony był patosu, sprawiał nawet wrażenie komicznego. Nie bez znaczeniu wydaje się także to, że Karola za pomocą starej sukni miała w trakcie przedstawienia wcielić się w Matkę Boską, która jest kojarzona przecież z sakralnym wymiarem macierzyństwa. Tym samym dziewczynka wchodziła w ponadczasową wspólnotę kobiet – strażniczek życia i tradycji religijnych. Podobnie jak w *Ikonce Siergija* główną rolę w tym opowiadaniu odgrywają przedmioty – w tym przypadku suknie okrywające kobietą nagość, swego rodzaju pośredniczki pomiędzy wnętrzem kobiet a światem zewnętrznym.

Towarzystwo Karoli przy przymierzaniu sukien było zatem dla Marka doświadczeniem pozytywnym pod względem obcowania z fascynującym go światem kobiet. Co więcej, był dumny z tego powodu, że ktoś po raz pierwszy obdarzył go zaufaniem, nawet jeśli chodziło o taką drobną sprawę jak doradztwo przy wyborze najlepszej kreacji. Poczul się wyróżniony i odpowiedzialny za drugą osobę.

Nikt nigdy podobnie z nim nie rozmawiał, nikt się go nie radził, jak ona, nie oczekiwał od niego w takich sprawach odpowiedzi. Dobrze, że go w tej chwili nie widzi ani nie słyszy Wiktor, myślał, dopiero by się śmiał. Ale miast zmartwienia, poczuł dumę. Czuł także nieznaną dotychczas falę ciepła przenikającego go raptem całego (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 119).

Tak za pomocą mowy pozornie zależnej narrator opowiadania opisuje emocje rozpięające głównego bohatera. „Fala ciepła”, która ogarnęła Marka, pozwoliła mu wydobyć się z własnej samotności i skłoniła do pokonania wspomnianych wcześniej różnych rodzajów dystansu. Dlatego chłopiec podchodził do kuzynki coraz bliżej, podekscytowany tym, że

[o]twierał się przed nim jakiś nie dostrzegany przedtem nigdy z bliska niezwykły świat. I on w ten świat wkraczał. Był to świat dziewczyn i kobiet i to było cudowne, że serce waliło mu w piersi jak młotem (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 119).

Kobiety w twórczości Włodzimierza Odojewskiego wpływają na decyzje i losy męskich bohaterów, którzy nieustannie za nimi podążają. Oczywiście najważniejszą kobiecą postacią w prozie pisarza jest Katarzyna Woynowiczowa, główna bohaterka cyklu podolskiego (*Wyspa ocalenia*, *Zasypie wszystko, zawieje...*, *Zmierzch świata*, *Powieść berlińska (Odejść, zapomnieć, żyć)*). To młoda wdowa po zabitym w Katyniu Aleksym Woynowiczu, o którą rywalizują kuzyni Paweł Woynowicz i Piotr Czerestwienski, a z czasem i Semen Gawryluk, choć ten ostatni ma wobec niej zdecydowanie złe zamiary. Katarzyna, zmuszona żyć w patriarchalnym społeczeństwie kresowym, jest traktowana jak moneta wymienna, ale i podziwiana niczym dzieło sztuki, pożądana, ciągle tracona. Jak pisze Inga Iwasiów, która zajmowała się badawczo cyklem podolskim, korzystając z metodologii feministycznej, Katarzyna to postać „skupiająca marzenia i ból męskich postaci”⁹. Nie wydaje mi się jednak, aby Odojewski traktował w swojej prozie kobiety przedmiotowo – często są one silniejsze od mężczyzn i tak jak w opowiadaniu *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu* kierują ich poczynaniami. Jednakże są one również bardziej narażone na okrucieństwa wojny związane z odzieraniem z godności cielesnej – gwałty i inne akty poniżania poprzez znęcanie się nad ich żywymi lub martwymi ciałami. Dlatego chwilowa radość Marka z otwarcia się na tajemniczy świat kobiet zostaje nagle przerwana.

⁹ I. Iwasiów, *Podążając za Katarzyną – szkic o prozie Włodzimierza Odojewskiego* [w:] *Odojewski i krytycy. Antologia tekstów*, s. 346. Zob. także też, *Kresy w twórczości Włodzimierza Odojewskiego*, Szczecin 1994.

Dzieje się to w sposób dla niego niespodziewany. Chłopiec poradził Karoli, aby przymierzała suknie bez swetra i spódniczki, jeśli faktycznie chce się przekonać, czy dobrze na niej leżą. Nie było w tym podtekstu erotycznego, ale chęć pomocy kuzynce, która wciąż nie mogła się zdecydować na wybór konkretnej sukni. W pewnym momencie dziewczynka zdjęła również podkoszulkę i zaczęła się przyglądać w lustrze swojemu małemu biustowi, zastanawiając się nad wypchaniem stanika watą, aby suknia dobrze na niej wyglądała. Marek patrzył na ciało kuzynki jak zahipnotyzowany i ostrożnie dotknął jej piersi. W momencie dotyku „tamto straszne wspomnienie sprzed miesiący zatrzęsło nim całym, podcinając oddech” (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 122). Jednocześnie dzieci usłyszały, że właśnie z kościoła powrócili inni domownicy. Marek rozplakał się i pobiegł do swojego pokoju, myśląc, „co zrobiłby, gdyby to i z nią się tak jak z tamtymi stało” (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 122). W nocy do pokoju roztrzęsionego chłopca przyszła jego mama i próbowała go uspokoić, choć nie rozumiała, co spowodowało, że dopadł go stan lękowy. Wypowiedziała słowa, które są tytułem opowiadania: „Nie można cię samego zostawić o zmierzchu”. Jednocześnie, przytulając go do siebie, ponownie wywołała u syna wspomnienie zwłok kobiet z odciętymi piersiami, pozbawionych atrybutu kobiecości: „Ale on zacisnął jeszcze silniej powieki i czując przez suknię, jak ciepłe wypukłości jej piersi oddychają, drżał” (*Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, JW 123).

Swego rodzaju zabawa z Karolą miała również swój wymiar negatywny, ponieważ przypominała Markowi o wydarzeniu, które, zdawałoby się, zepchnął już w niepamięć. Doprowadziła do ponownego rozpadu jego dziecięcego świata i w efekcie do konieczności zmierzenia się z drastyczną rzeczywistością dorosłych. Pozwoliła mu zrozumieć, że nie może się odciąć od obrazu okaleczonych kobiecych ciał i że będzie często do niego powracał. W ten sposób Włodzimierz Odojewski pokazuje, że pamięć spotkania ze złem pozostaje w życiu do końca – jest jak otwarta rana, która nie chce się zabiłnić. Warto przy tym próbować ją wypowiedzieć, wyrazić.

Jednakże opowiadanie *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu* nie ma jedynie negatywnego wymiaru. To również pochwała kobiecości i dziecięcej wyobraźni, która pozwala oswoić każdą

przestrzeń¹⁰. Zresztą, jak zauważyła kiedyś w rozmowie z Włodzimierzem Odojewskim Helena Zaworska, proza autora *Kwarantanny* ma dwie strony medalu:

Dowiedziawszy się od pana, że wszyscy jesteśmy uwikłani w zło i w winę, zostałam na to uczulona, także osobiście. Na szczęście uczulił mnie pan także na urodę życia, na to, że jest ono fascynujące mimo wszystko¹¹.

3. *Zasypie wszystko, zawieje... Rozgrzebany w ziemi jak rana, dół*

Włodzimierz Odojewski umiejętnie łączy pisarstwo na tematy uniwersalne, powtarzające się w historii pojedynczego człowieka i całej ludzkości, z pisarstwem dotyczącym konkretnych wydarzeń historycznych związanych z dziejami Polski i Europy. Wiesława Tomaszewska notuje nawet, że

[p]rozę Odojewskiego można określić mianem prozy pytań odwiecznych, pytań metafizycznych, nie tyle ze względu na nie same, ile na wszechobecny ich horyzont i źródło, jakim jest zaduma nad opisywaną rzeczywistością i niedosyt jej rozumienia¹².

Do takich pytań, na które w swojej prozie Odojewski ustawicznie poszukuje odpowiedzi, należy *unde malum?*, a więc pytanie o pochodzenie zła. Pisarza interesuje przy tym ludzka reakcja na zbrodnicze wydarzenia z przeszłości poznawane bezpośrednio lub poprzez opowieści innych. Stara się ją przedstawić, dążąc do literackiego odwzorowania stanu świadomości człowieka w momencie kontaktu ze złem. Jak wynika z analizy opowiadań inicjacyjnych *Ikonka Siergija* oraz *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu* dla autora *Zmierzchu świata* najważniejsze jest ukazanie emocjonalnego oddziaływania zbrodniczych wydarzeń na psychikę dojrzewającej, zmieniającej się jednostki, a także symbolicznego wymiaru opisywanych zdarzeń

¹⁰ Przestrzeń, nie tylko stepowa, to dla Odojewskiego jeden z podstawowych środków ekspresji symbolicznej. Zob. G. Czerwiński, *Po rozpadzie świata. O przestrzeni artystycznej w prozie Włodzimierza Odojewskiego*, Gdańsk 2011.

¹¹ H. Zaworska, *Udręka i uroda życia. Rozmowa z Włodzimierzem Odojewskim* [w:] tejsze, *Dobrze, że żyłem. Rozmowy z pisarzami*, Warszawa 2002, s. 282.

¹² W. Tomaszewska, *Metafizyczne i religijne. Problem subtematu w dziele literackim na przykładzie prozy kresowej Włodzimierza Odojewskiego*, Warszawa 2011, s. 220.

historycznych. Jednakże, ową płynną pod względem tożsamościowym jednostką w prozie pisarza niekoniecznie musi być dziecko czy nastolatek. Jest nią także osoba dorosła konfrontująca się z prawdą na temat wydarzeń istotnych dla swojej rodziny i narodu, które urosły do rangi mitu. Jak już wspomniałam, dla Odojewskiego szczególnie ważne są te powiązane z drugą wojną światową. Najbardziej znany jest zaś z wykorzystywania motywu Katynia i rzezi wołyńskiej. Ten pierwszy został przedstawiony w budzącym duże kontrowersje w czasie swej pierwszej publikacji fragmencie powieści *Zasypie wszystko, zawieje...* Mam na myśli rozdział trzeci, który w 1973 roku pod tytułem *Podróż* ukazał się w paryskiej „Kulturze”¹³. Spór dotyczył przede wszystkim kwestii zgodności wersji literackiej z prawdą historyczną. Rozpoczął go swoją polemiką *Literatura albo faktologia*¹⁴ Józef Mackiewicz – polski pisarz i publicysta, który w maju 1943 roku był w Katyniu na zaproszenie niemieckie i za zgodą polskich władz podziemnych. Po powrocie udzielił wywiadu pt. *Widziałem na własne oczy „Gońcowi Niedzielnemu”*, w którym zrelacjonował swój pobyt w miejscu kaźni polskich oficerów. Mackiewicz jest również autorem książek *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów* (z przedmową generała Władysława Andersa), *Sprawa mordu katyńskiego* i *Katyn. Zbrodnia bez sądu i kary* oraz licznych wypowiedzi broniących prawdy historycznej o mordzie katyńskim. Z tego powodu popadł w konflikt z władzą komunistyczną w Polsce, która doprowadziła do publicznej nagonki na jego osobę.

Odojewski zetknął się ze sprawą Katynia również w czasie drugiej wojny światowej, ale w przeciwieństwie do Mackiewicza nie widział osobiście katyńskiej ekshumacji. Poznał ją z relacji jednej ze swoich ciotek, która pojechała do Katynia, by sprowadzić do Polski zwłoki swojego męża i pochować je w rodzinnym grobowcu. Od tego czasu Odojewski zaczął zgłębiać temat tej zbrodni i z czasem stała się ona wątkiem powracającym ciągle w jego twórczości. Autor *Oksany* zapoznawał się z innymi ustnymi i pisemnymi świadectwami, różnymi opracowaniami i studiami historycznymi. Warto przy tym podkreślić, że był to wówczas w Polsce temat tabu. Przepuszczona przez cenzurę aluzja do katyńskiego mordu pojawiła się w twórczości pisarza

¹³ W. Odojewski, *Podróż*, „Kultura” 1973, nr 5/308, s. 15–33.

¹⁴ J. Mackiewicz, *Literatura albo faktologia*, „Kultura” 1973, nr 7/310–8/311, s. 179–183.

po raz pierwszy w *Wyspie ocalenia* (wydanie z 1964 roku), która zapoczątkowała cykl podolski. Mam na myśli fragment, z którego dowiadujemy się o otrzymaniu przez Katarzynę Woynowiczową listu z Czerwonego Krzyża z wiadomością o odkryciu zwłok jej męża Aleksiego Woynowicza, zaginionego we wrześniu 1939 roku. Nie padła jednak w nim nazwa Katyń, a pisarz nie wskazał Sowietów jako sprawców zbrodni. Wskazanie to pojawiło się w wersji rozszerzonej *Wyspy ocalenia*, która w latach 1972–1973 była drukowana na łamach nowojorskiego „Nowego Dziennika”.

Dopiero jednak w *Zasypie wszystko, zawieje...* Włodzimierz Odojewski w sposób pełny wypowiedział się na temat Katynia. Zawarł w powieści przejmujące opisy kaźni polskich oficerów zamordowanych wiosną 1940 roku przez Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych (NKWD) oraz traumatycznych doświadczeń świadków ekshumacji. Podróż Pawła Woynowicza i jego stryja Augusta, którą dokładniej przeanalizuję, można by nazwać prefiguracją pielgrzymek rodzin ofiar do miejsc pochówku swoich bliskich. Jak pisze Magdalena Rabizo-Birek, która opracowała „apokryfy katyńskie i łagrowe” Odojewskiego, motyw Katynia spaja wszystkie części cyklu podolskiego, pełni w nim funkcję kompozycyjną, ale i stanowi ideowy łącznik. Nie ma go tylko w wydany w kraju w roku 1962 zbiorze opowiadań *Zmierzch świata*¹⁵. W czwartej, niedokończonej części cyklu, występującej pod nazwą *Powieść berlińska* albo *Odejść, zapomnieć, żyć* (niekiedy też jako *Katarzyna*), pojawia się w postaci wizji Katarzyny, która w trakcie długotrwałej rekonwalescencji śni o oglądaniu masowych grobów katyńskich. Widzi je więc jedynie oczami wyobraźni. Magdalena Rabizo-Birek, zastanawiając się nad sensem tej wizji sennej, dochodzi do wniosku, że dzięki „strategii wielokrotnego powtórzenia” i ukazaniu ekshumacji z kolejnego punktu widzenia, pisarz nie tylko nadaje szczególną rangę temu wydarzeniu, ale i podkreśla, że zdeterminowało ono losy wykreowanych przez niego postaci tak samo jak żywych ludzi oraz jego własne piarstwo¹⁶.

¹⁵ M. Rabizo-Birek, *Między mitem a historią. Twórczość Włodzimierza Odojewskiego*, Warszawa 2002, s. 104.

¹⁶ Tamże.

Do sprawy katyńskiej pisarz powrócił w dwóch opowiadaniach z tomu *Zabezpieczanie śladów* (Paryż 1984, Warszawa 1990) – *Pod murem* i *Ku Dunzynańskiemu Wzgórzu idzie las...* Pierwsze z nich Odojewski zadedykował Józefowi Czapskiemu, który był malarzem, pisarzem i majorem Wojska Polskiego, autorem książek *Wspomnienia starobielskie* i *Na nieludzkiej ziemi*, powstałych na skutek przeżyć i przemyśleń po pobycie w obozie Starobielsk I na przełomie 1939 i 1940 roku. Bohater opowiadania *Pod murem*, „chudy malarz”, próbuje odzyskać spokój ducha i zdolność dostrzegania piękna świata po doznaniu krzywd ze strony bolszewików (cierpienie i śmierć spotkały również jego najbliższych). Z kolei bohater *Ku Dunzynańskiemu Wzgórzu idzie las...* – polski dziennikarz (*alter ego* pisarza) tropiący na Zachodzie ślady sowieckiej zbrodni polemizuje z profesorem, z pochodzenia Białorusinem, na temat źródeł nienawiści Polaków do Rosjan i wynikających z nich konsekwencji dla kształtu relacji pomiędzy tymi narodami. Według niego żadne mocarstwo oparte na przemoc i kłamstwie nie może trwać wiecznie, tak samo jak władza szekspirowskiego Makbeta – upadek imperium zła zaczyna się już w momencie dokonania zbrodni. Opowiadanie to miało być literackim pożegnaniem Odojewskiego z tematyką katyńską. Jednakże po wielu latach pisarz powrócił do niej w powieści *Milczący, niepokonani. Opowieść katyńska* (Warszawa 2003). Warto też pamiętać o tym, że autor *Kwarantanny* wielokrotnie poruszał temat zbrodni katyńskiej na antenie Radia Wolna Europa, między innymi we wspomnieniach o Mackiewicz i Czapskim. Część z nich została opublikowana w tomie esejów *Raptularz krytyczny. Twórcy, dzieła, konteksty* (Lublin 1994). Poza tym Odojewski napisał wstęp do publikacji *Katyń w literaturze. Międzynarodowa antologia poezji, dramatu i prozy* (Lublin 1995). Czytamy w nim, że powyższa antologia stanowi

[...] zbiór tekstów literackich, literatura zaś, obrazy literackie tym się od suchego dokumentu zwykle różnią, że silniej działają na wyobraźnię, że poruszają głębsze, gorętsze złoża wrażliwości, że bardziej pobudzają do refleksji, że może właśnie trwale zapadają w pamięć czytającego. Ja w każdym razie w to wierzę¹⁷.

¹⁷ W. Odojewski, Wstęp [w:] *Katyń w literaturze. Międzynarodowa antologia poezji, dramatu i prozy*, oprac. J.R. Krzyżanowski, Lublin 1995, s. 11.

Włodzimierz Odojewski zawarł w tej wypowiedzi swoje poglądy na rolę dzieł literatury pięknej w kreowaniu obrazu przeszłości, które powtarzał w wywiadach i w innych swoich wypowiedziach. Pisarz bronił się w nich przed zarzutem niewierności faktom historycznym. Nie miał zamiaru tworzyć książek dokumentalistycznych, lecz fikcyjne powieści i opowiadania, poszukujące, co może wydawać się paradoksalne, prawdy o wydarzeniach z przeszłości i ukazujące ich wpływ na losy pojedynczych ludzi i całej zbiorowości. Dlatego Odojewski wpisał Katyń w świat przedstawiony swojej prozy artystycznej. To był jego sposób na opis tego, co było tak drastyczne, że „przechodziło ludzką wyobraźnię” i „nie dawało się wypowiedzieć”. Chciał więc pogodzić „prawdę historyczną” z „prawdą artystyczną”¹⁸.

Po przeczytaniu rozdziału trzeciego *Zasypie wszystko, zawieje...* można stwierdzić, że w sposób mistrzowski Włodzimierzowi Odojewskiemu się to udawało. Ten fragment powieści, podobnie jak opowiadanie *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*, utrzymany jest w konwencji onirycznej. Rozdział trzeci (warto zaznaczyć, że stanowi on odrębną całość i jednocześnie jest spójny z innymi częściami powieści) obfituje w opisy dźwięków, kolorów, zapachów i doznań dotykowych. Najważniejsze w nim są bowiem przeżycia Pawła Woynowicza, które są opisywane za pomocą narracji trzecioosobowej z użyciem mowy pozornie zależnej. Tym samym wypowiedź narratora jest tak ukształtowana, że odzwierciedla sposób myślenia i wyrażania się samego bohatera. Monolog wewnętrzny postaci zostaje wchłonięty przez narrację. Jest to sytuacja pomiędzy użyciem mowy zależnej i niezależnej. Dzięki tej technice narracyjnej Włodzimierz Odojewski pokazuje, że zbrodnia katyńska

¹⁸ Nie oznacza to oczywiście, że Odojewski celowo przeinaczał lub pomijał pewne szczegóły historyczne. Poprawiał swoje dzieła literackie, by nie zawierały niezgodności związanych z historią mordu w Katyniu i z późniejszymi wielokrotnymi ekshumacjami zwłok polskich oficerów, ale nie traktował ich jako relacji, lecz jako literaturę korzystającą z różnych środków ekspresji do przedstawienia doświadczeń historycznych. Należy też pamiętać, że pisząc w czasach PRL *Zasypie wszystko, zawieje...*, pisarz nie miał dostępu do zbyt wielu źródeł wiedzy o Katyniu i spotykał się z niechęcią polskich wydawców wobec tematu katyńskiego. Przypomina o tym w odpowiedzi na polemikę Józefa Mackiewicza. Zob. W. Odojewski, *List do redaktora naczelnego „Kultury”*, „Kultura” 1973, nr 9/312, s. 157–158.

i ekshumacja zwłok zamordowanych mężczyzn nie powinna być traktowana w literaturze jedynie obiektywnie i jako suchy fakt historyczny. Stanowiła bowiem traumatyczne ludzkie doświadczenie i jako takie powinna zostać zapamiętana, jeśli pamięć o niej ma być kontynuowana przez kolejne pokolenia.

Stąd też takie pierwsze zdania rozdziału, sugerujące wydobywanie się głównego bohatera z ciemności: „Wpierw był mrok. Spowijał ciało jak czad, dym, jakżeby więc mógł przeczuć cokolwiek?” (ZWZ 127). Paweł Woynowicz miał niespokojny sen, a właściwie tkwił w stanie pomiędzy jawą a snem, słysząc różne głosy dochodzące z domu w Glebach. Stan ten utrzymuje się przez cały fragment. Wydaje się, że bohater znajduje się w transie, od czasu do czasu próbując przełamać go i nawiązać kontakt z rzeczywistością. Być może w ten sposób Odojewski sugeruje nierzeczywistość zbrodni w Katyniu – było to wydarzenie, którego współcześni nie mogli tak po prostu wpisać w codzienne życie i własny system moralny, nawet po innych aktach okrucieństwa w czasie drugiej wojny światowej. Dlatego wuj August, były więzień łagrów radzieckich, po zobaczeniu dołów z ciałami pomordowanych stwierdził z przerażeniem i rozpaczą: „Tego nie da się z niczym porównać. Tego nawet nie trzeba porównywać z czymkolwiek” (ZWZ 149).

Najpierw jednak Paweł i stryj August podjęli się wyczerpującej podróży na Wschód. Jakie były jej cele? Jeden z nich był – można by powiedzieć – przyziemny i związany z pamięcią rodzinną. Matka braci Woynowiczów chciała, by mężczyźni sprowadzili na Kresy ciało Aleksego i dowiedzieli się jak najwięcej szczegółów dotyczących jego śmierci. Byłoby to ostateczne potwierdzenie tego, że Aleksy został zamordowany w 1940 roku przez NKWD. Katarzyna miała zastrzeżenia do tego celu podróży. Przed wyjazdem przyszła do półprzytomnego Pawła i skierowała w jego stronę dwa komunikaty: „Nic w ten sposób Aleksemu nie pomożecie, to nie jest mu potrzebne, a sami możecie nie wrócić”; „Zresztą, rób, co chcesz, to wasza rodzinna sprawa” (ZWZ 128). W ten sposób kobieta zaznaczyła swoją obcość w rodzinie Woynowiczów, chociaż była żoną Aleksego, i brak wiary w to, że wyprawa na Wschód może cokolwiek zmienić w pamięci o Aleksym. Podobne wątpliwości miał i Paweł, o czym świadczy fragment:

Znając matkę, powinienem był przeczuć wcześniej. Że nie zazna spokoju, dopóki jej pierworodny nie spocznie w poświęconej, prawdziwie własnej ziemi. Ale jaka ziemia jest teraz własna? A nawet, jeśli jest, jak długo jeszcze nią pozostanie! (ZWZ 135)

Bohater nie wierzył przy tym, że Kresy Wschodnie pozostaną długo w granicach Polski. Jego wyjazd do Katynia był natomiast osobistym rozrachunkiem z bratem, z którym rywalizował o względy Katarzyny (co więcej pod wieloma względami czuł się gorszy od niego). Przed podróżą doszło między nim a kobietą do cielesnego zbliżenia. Jednocześnie Paweł widział w tej wyprawie konieczność wynikającą z kolei losu, fatum ciężące na nim:

Oczywiście, tak musiało być. Tak chciał los. Żebym właśnie w tej, a nie innej chwili spotkał się z Aleksym. Najmniej odpowiedniej. Gdy zabrałem mu żonę (ZWZ 129).

Miał więc wyrzuty sumienia związane ze swoim postępowaniem i cel, dla którego wziął udział w wyprawie, był inny – głęboko egzystencjalny i psychologiczny. Spotkanie z ciałem brata utożsamiał Paweł ze spotkaniem z nim samym, z duchem Aleksego, czyli jako możliwość szczerzej rozmowy kończącej nierozwiązane sprawy między nimi. Trzecim celem dla Pawła i wuja Augusta było przekonanie się o tym, że mord katyński faktycznie się wydarzył, dojście do prawdy o Katyniu i utrwalenie jej w pamięci. Z tego powodu Paweł, stając nad dołem

[...] z zimną krwią reportera albo raczej laboranta patrzącego przez szkiełko, badającego, mającego za zadanie utrwalić obraz – utrwał ten obraz w swej pamięci na zawsze: parometrowe złoża zwłok w polskich mundurach oficerskich z zachowanymi nieźle jeszcze guzikami i odznaczeniami, w ciężkich, zimowych płaszczach [...] (ZWZ 147).

Takie podejście wynika z traktowania siebie jako nośnika pamięci. Czwartym zaś, podświadomym celem była chęć konfrontacji z Rosjanami, którzy mieli świadomość popełnienia zbrodni przez swych rodaków. Jaki był ich stosunek do niej? Z tego powodu Paweł analizował spojrzenie rosyjskiej recepcjonistki w smoleńskim hotelu, mając wrażenie, że jej wzrok „taił upokorzenie, które nie nikło, przesuwano się, odsuwało zaledwie” i że były w nim „tamte

wiosenne dni sprzed trzech lat” (ZWZ 143). Bohater czuł swego rodzaju imperatyw rozwiązania dylematu: czy Rosjanie mają wyrzuty sumienia w związku z tym, co stało się w Katyniu? Zapewne pozytywna odpowiedź na to pytanie pomogłaby Pawłowi rozpocząć proces leczenia traumy i podjąć próbę wybaczenia narodowi rosyjskiemu mordu na Polakach. Kwestia ta pozostała jednak jedynie w sferze domysłów.

Czy zatem Paweł i wuj August zrealizowali wymienione wyżej cele w trakcie podróży do Katynia? Na miejscu okazało się, że nie mogą zobaczyć zwłok Aleksego, a jedynie mogiłę, do której je przeniesiono, oraz że nie ma możliwości zabrania ciała. Przekazano im tylko przedmioty znalezione przy zwłokach – kawałek gazety rosyjskiej, parę monet, strzęp książeczki wojskowej, guzik i srebrną papierośnicę. Szczególnie znaczenie miała ta ostatnia rzecz, ponieważ stanowiła pamiątkę rodzinną przekazywaną męskim potomkom. Paweł, zabierając ją, stawał się po Aleksym kolejną męską głową rodu, a Woynowiczowie uzyskali niezaprzeczalne dowody w postaci tych przedmiotów i świadectw mężczyzn, że Aleksy zginął w trakcie masowego mordu katyńskiego. Oczywiście to nie zmniejszyło ich bólu. Paweł po powrocie do Gleb był tak wstrząśnięty, że zdołał do oczekujących na jego relację członków rodziny skierować tylko dwa krótkie zdania: „Oni nie wydają ciała” oraz „To wszystko prawda” (ZWZ 158). Informacje o mordzie zostały potwierdzone, a prawda okazała się jeszcze straszniejsza, ponieważ teraz zaczęły jej towarzyszyć naturalistyczne obrazy dołów katyńskich. Jeśli zaś chodzi o inne cele – osobisty rozrachunek z bratem i poznanie stanu sumienia narodu rosyjskiego – zostały one przez Pawła osiągnięte połowicznie. Wprawdzie bohater nie uzyskał spokoju ducha i wewnętrznej harmonii, ale zdał sobie sprawę ze wspólnoty losu narodu polskiego i rosyjskiego. Dlatego też jego słowa wynikające z obserwacji Rosjan brzmią: „I oni są na dnie. Może nawet o tym nie wiedzą. Ale przeczuwają” (ZWZ 141). Ów „rozgrzebany w ziemi, jak rana, dół” (ZWZ 146) na zawsze będzie stanowił, metaforycznie rzecz ujmując, otwartą ranę na dziejach obydwóch narodów. Poszukując zaś obsesyjnie ciała Aleksego, Paweł zrozumiał, że podobnie zabitych jak on było tysiące mężczyzn. Dlatego miał wizję Aleksego-*everymana* i

[...] był to jakiś Aleksy w ogóle, on i jednocześnie każdy inny, zniekształcony, nie do zidentyfikowania, zwielokrotniony, bliski, a zarazem daleki, już pogrążony w czas, jak w to bagno, w którym oni wszyscy leżeli, ale przecież z tego samego plemienia [...] (ZWZ 145).

Fragment katyński *Zasypie wszystko, zawieje...* w kontekście czasów, w jakich powstał, można więc traktować jako apel o pamięć i prawdę historyczną. Jest ona zespolona z losami wielu polskich rodzin, dla których Katyń stał się mitem. Ów fikcyjny Aleksy symbolizuje ogół Polaków zabitych wiosną 1940 roku przez NKWD. Natomiast podróż Pawła Woynowicza i jego wuja Augusta do miejsca kaźni można odnieść do żmudnego procesu osławiania przez Polaków prawdy o jednej z najcięższych zbrodni stalinizmu, która przez wiele lat była ukrywana. Zresztą wiele kwestii związanych z nią nie zostało do tej pory wyjaśnionych.

*

W świętych księgach chrześcijaństwa „rzeczami ostatecznymi człowieka” nazywa się rzeczywistość, z którą zetkną się ludzie pod koniec swojego życia: śmierć, sąd i wieczne przeznaczenie – niebo lub piekło. Dzieła literackie Włodzimierza Odojewskiego mają często wymiar religijny, ukazują swoistość kresowej wspólnoty wierzących czy ludzką potrzebę *sacrum*, co opisuje szerzej wspomniana już przeze mnie Wiesława Tomaszewska. Czemu piszę o tym w zakończeniu interpretacji wybranych dzieł Odojewskiego? Otóż pisarz w analizowanych opowiadaniach *Ikonka Siergija* i *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu* oraz we fragmencie *Zasypie wszystko, zawieje...* uwieloznacznia sformułowanie „rzeczy ostateczne człowieka”, chociaż nie pojawia się ono wprost. „Rzeczami ostatecznymi” można nazwać przedmioty, które świadomie lub nieświadomie ludzie pozostawiają po sobie – w interpretowanych tekstach są to prawosławna ikonka, kobiece ubrania, srebrna papierosnica – i którym ich „spadkobiercy” nadają sakralne znaczenie, obdarzają je szacunkiem i pielęgnują pamięć o ich poprzednich właścicielach. Jednakże „rzeczy ostateczne” to również moralne powinności ciężące na osobach, które zaczęły poznawać prawdę o tragicznych wydarzeniach z przeszłości (dotyczą one też pisarzy) – powinny one

ją zgłębiać i rozpowszechniać wszystkimi możliwymi sposobami, pomimo dyskomfortu psychicznego. Wreszcie jako „rzeczy ostateczne” rozumiem końcowy rozrachunek pokrzywdzonych i krzywdzących, okłamywanych i oszustów, do którego ukazania dąży w swojej prozie Włodzimierz Odojewski.

Wszystkie te „rzeczy ostateczne człowieka” łączą ze sobą analizowane przeze mnie dzieła literackie pisarza i wskazują na ich silny przekaz, trafiający – mam nadzieję – do sumień i serc czytelników. Jednakże nie mają one jedynie chłodnego wymiaru umoralniającego czy tragicznego (egzystencja człowieka jako ciągła konfrontacja ze złem). Pokazują na przykład niezwykłość ludzkiej psychiki, mającej zdolności kreacyjne, czy wagę relacji interpersonalnych, które kształtują osobowość człowieka i pomagają mu przetrwać trudne chwile. Przez to, że każdy z głównych bohaterów *Zasypie wszystko, zawieje...* żyje z swojej samotni, nie może być szczęśliwy i czuć się bezpieczny. Wybrane dzieła literackie posiadają ponadto typowe cechy warsztatu prozatorskiego Odojewskiego (na przykład czerpanie z konwencji onirycznej), choć wyróżnia się wśród nich *Ikonka Siergija*, której narrator podkreśla wielokrotnie swoje dążenie do syntezy. Uważny czytelnik z pewnością znajdzie też inne podobieństwa pomiędzy tymi tekstami. Oczywiście jednocześnie wspaniale się one między sobą różnią, co świadczy o nieograniczonej wyobraźni twórczej Włodzimierza Odojewskiego. Aby w pełni poznać jej możliwości, polecam swojej przygody czytelniczej z twórczością Odojewskiego nie ograniczać jedynie do kilku pozycji pisarza. Bowiem im bardziej się w tę prozę zagłębiamy, tym lepiej rozumiemy, że „rzeczy ostateczne” autora *Białego lata*, a więc jego dzieła literackie, mają ciągle coś do powiedzenia na temat przeszłości i teraźniejszości (w tym o kondycji współczesnego człowieka), a ze względu na swój literacki kunszt dają niezwykłą przyjemność estetyczną.

Jolanta Nawrot

Bibliografia

Czerwiński G., *Po rozpadzie świata. O przestrzeni artystycznej w prozie Włodzimierza Odojewskiego*, Gdańsk 2011.

Iwasiów I., *Kresy w twórczości Włodzimierza Odojewskiego. Próba feministyczna*, Szczecin 1994.

Odojewski i krytycy. Antologia tekstów, wyb. i opr. S. Barć, Lublin 1999.

Rabizo-Birek M., *Między mitem a historią. Twórczość Włodzimierza Odojewskiego*, Warszawa 2002.

Rembowska-Płuciennik M., *Poetyka i antropologia. Cykl podolski W. Odojewskiego*, Kraków 2004.

Skibska A., *Twórczość Włodzimierza Odojewskiego w kręgu powojennych orientacji literackich*, Poznań 2016.

Szczepkowska E., *Cykl podolski Włodzimierza Odojewskiego. Postacie. Krajobrazy. Obszary pamięci*, Warszawa 2002.

Tomaszewska W., *Metafizyczne i religijne. Problem subtematu w dziele literackim na przykładzie prozy kresowej Włodzimierza Odojewskiego*, Warszawa 2011.

Zabezpieczanie śladów. Wokół życia i twórczości Włodzimierza Odojewskiego, red. A. Przybyszewska i D. Nowakowska, Poznań 2018.

Noty o autorach

Jolanta Nawrot – urodzona w 1992 roku. Doktorantka w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza, absolwentka poznańskiej polonistyki. Przygotowuje rozprawę doktorską *Krytyka artystyczna i publicystyka Włodzimierza Odojewskiego na podstawie materiałów archiwalnych Radia Wolna Europa (lata 70.–90. XX wieku)*. Członkini Zespołu ds. Archiwum Włodzimierza Odojewskiego na macierzystej uczelni. Autorka artykułów naukowych na temat życia i twórczości autora *Zasypie wszystko, zawieje...* Píše również wiersze i recenzje. Wydała trzy tomy poetyckie: *Płonące główki, stygnące stópki* (Poznań 2015), *Nagliki* (Poznań 2019) i *Katalog win* (Poznań 2019). W 2018 roku laureatka stypendium artystycznego Miasta Poznania. Interesuje się literaturą polską XX i XXI wieku i jej związkami z innymi dziedzinami sztuki, a także kreatywną edukacją polonistyczną.

Wiesław Ratajczak – urodzony w 1969 roku. Profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza, badacz kultury polskiej drugiej połowy XIX wieku. Autor książek: *Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski) i wiek XIX* (Poznań 2006), *Słownik motywów literackich* (Poznań 2006), *Literatura polska XIX wieku* (Poznań 2008), *Conrad i koniec epoki żaglowców* (Poznań 2010), „*Stąd konserwatyzm jest pozytywizmem*”. *Mysł społeczno-polityczna młodych konserwatystów warszawskich ich adherentów 1876–1918. Antologia publicystyki* (wspólnie z Maciejem Glogerem, Bydgoszcz 2018), *Spór o Conrada 1945–1948* (Poznań 2018). Współredaktor wielu tomów zbiorowych, autor artykułów poświęconych między innymi prozie i poezji doby pozytywizmu i Młodej Polski, związkom historii i egzystencji, dziewiętnastowiecznym ideom i ich obecności w następnych stuleciach. Członek redakcji „Poznańskich Studiów Polonistyczny. Serii Literackiej”.

Antologia

Ikonka Siergija

Zygmuntowi Imbierowiczowi

Najpierw tło: jest nim około dwutysięczne miasteczko K., wciśnięte między rzekę, raczej strumień, i dwa sąsiadujące jeziora, które ten strumień łączy. Miasteczko K. we wrześniu trzydziestego dziewiątego, amatorskimi, bo prawie samymi cywilnymi siłami, dzięki swemu obronnemu położeniu, na półtora dnia zdołało powstrzymać napierającą od południowego zachodu ciężko zbrojną niemiecką kolumnę, w czterdziestym czwartym zaś przez tę swoją obronność wydało się uchodzącym Niemcom, że nadaje się ono do stawienia Sowiecom oporu (trwał od południa do wczesnego, zimowego zmięzchu), stąd w opowieściach tamtejszych ludzi o przeszłości aż tylu jawi się zabitych; w pierwszym wypadku było to około sześciuset rozstrzelanych w odwecie przez Vehrmacht mieszkańców i koczujących wtedy w miasteczku uciekinierów z innych stron, których zwłoki wrzucono następnie do czterech albo pięciu zbiorowych mogił (na terenie strzelnicy Towarzystwa Strzeleckiego i w pobliżu alei biegnącej ku kolejowej stacji), w wypadku drugim walające się w zaułkach, uliczkach i w podwórkach, zwłaszcza zaś na poboczach szos prowadzących do miasteczka i z niego wyprowadzających, ciała wielu niemieckich żołnierzy oraz cywilów niemieckich, co pierzchali przed frontem, lecz pierzchnąć nie zdążyli, wykoszonych z broni maszynowej trzech, może pięciu sowieckich czołgów i z pepesz nacierających pod ich osłoną piechurów; trzeba ująć wszystko to choć w tak wielkim skrócie, kto dziś pamięta!

Teraz pora: tuż przed sylwestrem albo może w pierwszych zaraz dniach stycznia, nie mam pewności, pamięć zawodzi, w każdym razie pięć albo sześć dni po przewaleniu się przez miasteczko frontu.

Jeszcze kilka informacji niezbędnych: w tym wydarzeniu nie chodzi o owe dość liczne trupy niemieckie (o których wyżej), ale o kilkanaście, no powiedzmy kilkadziesiąt, trupów sowieckich; większość tych ludzi straciła życie w czasie ataku, dwóch albo trzech wyleciało w powietrze przy zaminowanym przez Niemców wejściu do wielkich wojskowych składów alkoholu w jednym z kościołów,

jeden został zmiądzony przez nieuwagę przez własny czołg. A leżeli tu i tam, zamarznięci już ileś tam dni, niektórych cienką warstwą pokrywał śnieg, co sprawiało, że wydawali się mniej odczłowieczeni.

W końcu małe wprowadzenie do akcji: specjalna ekipa „armiejna” (w nieco innych niż frontowe mundurach), trzech, czterech mężczyzn, posuwała się szlakiem, gdzie – według informacji ludzi miejscowych – ci ich zabici leżeli, rejestrowała; przeszukiwali kieszenie, opróżniali je z papierów i drobiazgów, z nadgarstka zdejmowali, jeżeli tam się znajdował, zegarek, i coś tam przepisywali z metalowego znaczka zawieszzonego na sznurku na szyi zabitego. Wszystko znalezione wkładali do torebki, zabierali.

Dzień był pochmurny, niebo bez światła, zgasłe, śnieżyło, ale zrazu nie za bardzo, to raczej z góry bezwładnie opadała lodowaciejąca w powietrzu dopiero tuż nad ziemią mgła. Nie wróciłem do domu o zwyczajnej porze na obiad, wiedząc, że jeżeli tylko wrócę, matka za nic nie pozwoli mi wychylić głowy tego dnia powtórnie na dwór. A któryś z chłopaków z naszej paczki – pewnie Zygmunt, bo wszędzie był pierwszy, istna kronika wydarzeń, nie przepuścił żadnego – jeszcze przed południem przybiegł z wiadomością, że w miasteczku znowu pokazali się Niemcy. Ale to nie byli już ci sami, tamci Niemcy sprzed kilku dni, ci Niemcy teraz, to byli Niemcy pokonani, a takich nikt przedtem w miasteczku nie widział; tak twierdził Zygmunt, i można było mu wierzyć. Więc choć skądinąd wiedziałem, że kieruje nimi Glemboki (właściwie Głębocki, tyle że folksdojcz ożeniony z Niemką, co przed wojną miał sklep przy rynku, a przed tygodniem albo półtora urwał się w zawierusze frontu z jakiejś tam służby i przytułał w okolicę, licząc może, że jeszcze połączy się z rodziną; nic z tego, wcześniej uciekła), czyli – najogólniej mówiąc – wydarzenie względne, żadnych tam specjalnych sensacji, to jednak poszedłem ku szosie prowadzącej obok piekarni i mleczarni poza miasteczko ku wzgórzom starego, pocholerycznego cmentarza Świętej Barbary, ażebym na tych innych Niemców mógł być choć krótko popatrzeć.

Zatem dzień był pochmurny, w powietrzu białe, nieprzejrzyście, to opadanie zamarzającej nad ziemią mgły potęgował brak odrobiny wiatru; pora obiadowa, może trochę wcześniej. Przy mleczarni trwała jakaś dzika awantura, pewnie ludzie rabowali, a ci z opaskami na lewym rękawie, zwani po nowemu „milicjantami”, z krzykiem

odpychali, przepędzali (już od wczoraj za zgodą sowieckiego wojennego komendanta na powrót z opaskami biało-czerwonymi, nie czerwono-białymi; widać dogadali się, że nie zawsze czerwone musi być na górze), a ja z trudem przepchnąwszy się przez tłum, obszedłem zbiegowisko okrężną ścieżką przez łąkę nad jeziorem, tak że na szosę wydostałem się z przeciwnej strony (kawał drogi!), stamtąd szedłem na powrót ku miasteczku, i tak jak chciałem, właśnie grupę tych Niemców mając naprzeciw, bo ta ekipa sowiecka, trzech, może czterech, nie pamiętam, była dalej, w tyle, nie bardzo zrazu widoczna, ale o to mi przecież chodziło, na Sowietów w czasie ostatnich dni napatrzyłem się po czubek nosa, snuli się po miasteczku jak czad, włązili ludziom do mieszkań, zaglądali pod pozorem szukania broni do szaf, szuflad, spiżarni, ściągali kobietom z palców obrączki, gdzie się dało gwałcili, jak jakąś na osobności dopadli, poszukiwali alkoholu, szczególnie zacięci byli na zegarki, wielkie było zamieszanie i trwoga, pierwsze bowiem bojowe oddziały szturmowe, karne i dobrze umundurowane, przez miasteczko jedynie przemknęły i pognały na Zachód, za nimi zaś ciągnęło już mnóstwo rozwydrzonej czerni na różnych taratajkach, konno, na ciężarówkach swoich, amerykańskich i zdobycznych, ponemieckich, pieszo również, no ale do rzeczy, tych Niemców, jakich wcześniej się nie spotykało, miałem naprzeciwko, toteż chciałem im się przyjrzeć.

Więc nawet dość się zbliżyłem i widziałem, jak miotełkami z brzoźowych gałązek odmiatali te zamarznięte trupy ze śniegu, pewnie ażeby przekonać się czy niemieckie, czy sowieckie; jedne zostawiali w tej samej pozycji, w jakiej leżały, nieodmiecione do końca, inne, sowieckie, odmiecione starannie, przygotowane do oględzin, układali wzdłuż rowu przy szosie, tam właśnie, gdzie szli ci Sowietci w tych trochę innych mundurach (na czym inność ich mundurów polegała, tego już dziś nie potrafiłbym powiedzieć), i zatrzymywali się przy każdym zwłokach.

Ale do rzeczy i po kolei: więc zbliżyłem się, stanąłem pod jednym z drzew, co przy szosie rzędem rosły i patrzyłem – istotnie byli to zupełnie inni Niemcy od tych, których widywałem niemal codziennie przez cztery ostatnie lata, wyglądali, choć dwóch było w zdartych wojskowych płaszczach, cywilnie, to znaczy jak robotnicy drogowi, albo piaskarze znad miejscowego jeziora czy nawet tutejsi rybacy,

cywilnie, mogę przysiąc, pamiętam dobrze, tyle że w ich ruchach była jakaś ostrożna układność, czujność, pokora, a może nie pokora wcale, uniżoność raczej, coś w tym rodzaju, nie umiem tego nazwać. Więc ja patrzyłem na nich i oni, od czasu do czasu, odrywając od swojej roboty oczy, patrzyli na mnie, niekiedy jak gdyby próbowali się uśmiechać, ale nie powiem że łąsząco, przypochlebnie, żebym nie podskoczył i nie kopnął któregoś w tyłek, czego pewnie już nieraz w tych dniach od tego czy innego mieszkańca miasteczka doświadczyli, ale tak jakoś, jakby chcieli, żebym zapomniał, że widziałem ich tu, w tym miejscu, przy tej robocie, żebym myślał, że tylko mi się przywidziało, nic więcej nie potrafię o nich powiedzieć, zdumiewające, choć sporo rozmyślałem o tym i wtedy, i później, przecież nie mogłem dojść istoty tej przemiany. Jeszcze niedawno mogli twardą łapą walnąć w twarz, że nie zdjęło się czapki albo nie ustąpiło z drogi, aż tu nagle w ich twarzach tyle czegoś takiego jak u normalnych ludzi, zwykłego, prawie zrobiło mi się ich żal!

A więc ja patrzyłem na nich, oni od czasu do czasu na mnie, aż się zupełnie zbliżyli, bo jednego z tych zabitych, odmiecionego ze śniegu i wyczyszczonego starannie, podciągnęli pod drzewo właśnie, przy którym stałem. I wtedy ten kierujący nimi Głębocki, rozejrzawszy się ostrożnie, zrobił krok w moją stronę i takim syczącym, rozkaszanym szeptem po polsku zapytał, czy może słyszałem coś o jego rodzinie, zwłaszcza o starszej córce (pracowała w powiatowym Arbeitsamcie, a takie urzędy na samym końcu się ewakuowały, bo do ostatnich dni wysyłali naszych na roboty do Niemiec), ja zaś odpowiedziałem mu, że kilka dni przed przewaleniem się frontu, kiedy jeszcze pociągi kursowały, cała jego rodzina zwiłała w głąb Rzeszy, choć miałem w pierwszej chwili wielką ochotę mu powiedzieć, że ją sowieccy żołnierze zbiorowo przerznięli, pamiętałem bowiem, z jaką to paradą, jak kręcąc tyłkiem, chodziła codziennie aleją od stacji, kiedy z powiatu wracała po pracy do domu, czternaście lat miałem i te rzeczy przyciągały już wzrok, a po polsku za nic by się nie odezwała, udawała że nie rozumie, ale pod psim spojrzeniem Głębockiego zmiękłem; oto jaki był ze mnie wtedy zasraniec.

I stałem tam pod drzewem dalej, bo oni do tego pierwszego, młodego, donieśli wkrótce odczyszczonych ze śniegu i kawałków lodu jeszcze dwóch innych zabitych, ułożyli nie opodal, dużo starszych,

choć – jak dziś pomyślę – takie wojenne zwłoki niewiele się od siebie różnią (no, brakiem tej czy innej części ciała, innym zakrzepem, w którym domyślić się można śmiertelnych ran, ale tak to są podobne, niby spod jednej sztancy), biali jacyś się wydawali, o skórze wygładzonej, sztywnej, suchej, jakby pod nią nie było żadnych arterii, którymi do niedawna krążyła ciepła krew, jakby byli z cienkiego papieru, z twarzami jak u celuloidowej lalki, mimo to jednak wiedziałem, że tych dwóch, doniesionych przez ludzi Głębockiego, było dużo starszych (jeden miał włosy całkiem siwe, drugi zaś też siwy, zęby częściowo miał zjedzone, zepsute), a ten pierwszy, zupełnie młody, wyglądał jak ja, no, nie powiem, że dokładnie tak jak ja, lecz prawie, tak na siedemnaście, może osiemnaście lat: twarz pociągła, mogła być za życia ochłostana wichurą i deszczem, smągła, teraz biała jak ten śnieg dookoła, którego drobne resztki zostały tu i ówdzie w załamaniach skóry nieżyjącego, w zaciśniętych powiekach (bo tamci dwaj to oczy mieli otwarte), twarz bez śladu zarostu, prosta, ale nie prostacka, włosy na głowie krótko przycięte, a dłonie, także białe jak twarz, delikatne, nie zniszczone, trzymał je przy piersiach, jakby chciał to coś z nich uchodzącego w ostatniej chwili zatrzymać; teraz nie dawały się odgiąć i wyprostować. To on właśnie zaprzętną moją uwagę, pamiętam, bo jak to tak, nie do pojęcia, umrzeć jak zastrzelone zwierzę, w tym wieku, jeszcze chyba szkolnym, jakiś absurd, myślałem ze złością, pamiętam.

Tymczasem zbliżyła się ta ekipa sowiecka, z drugiej zaś strony, skądś od jeziora, wynurzył się Zygmunt, ten z naszej paczki; jak mnie był znalazł, nie powiedział, tylko o tamtych, że są do specjalnych zadań zapewne, i tacy, co to sami głowy nie nadstawiają, ale innych przypilnują, mówił, „Trupy obszukują, cha, cha! Popatrz, popatrz...”, i uraczył mnie makabryczną historyjką z tegoż ranka. Tamci zajmowali się wówczas tymi kilkoma, co w powietrze wylecieli na minach przed kościołem naładowanym aż po stropy skrzyniami z alkoholem, i jak im ci Niemcy Głębockiego, zbierając zewsząd i składając razem te pozostałe części, przydzwigali też zamarznąętą na kamień rękę, to oni ją z rękawa odsłonili (jakby wiedzieli, czego szukać należy) i znaleźli pod nim z pięć albo nawet więcej zegarków na paskach tam zapiętych. A wtedy Zygmunt z tej własnej opowieści roześmiał się za głośno, „Cha, cha...”, niech by to zobaczyli ich

właściciele!”, więc oczy tamtych, takie wszystkowiedzące, zarazem niewidzące, lecz czujne, przewiercające, zwróciły się w naszą stronę ostro. Ale spojrzeli jeden raz, drugi, potem już wcale; pomyśleli pewnie o nas, ot, gówniarze, wyglądaliśmy jak gapowicze, rozparci pod tym pnem na piętach, łokciami obejmujący łydki, z brodami na kolanach, i na oko na dwa, trzy lata mniej niż w rzeczywistości. I zaraz zabrali się znowu do tej swojej roboty, ciągnęło zresztą tę gim mrozem, powietrze aż zgrzytało w zębach, zaczęli się śpieszyć.

Potem było tak: obszukali zwłoki tego młodego od góry do dołu (zegarka na nadgarstku nie miał, może zresztą wcześniej zrabowano), z kieszeni wydobyli jakieś drobiazgi, oglądali, gadali między sobą, wkładali do papierowej torebki, obmacywali chwilę jego ciało pod rozharataną fufajką, nawet po tej stronie, gdzie widniał zlodowaciały czarny kawał czegoś, co zapewne było kiedyś miejscem, skąd lała się krew; bluza pod spodem nie dawała się rozpiąć, oddzielić od bielizny, rozerwali ją i wreszcie znaleźli to, czego tam szukali, ten sznurek, na którym – wiedziałem już – miał wisieć kawałek metalu, może z numerem, może z napisem jakimś, i zapisali. Ale tam był jeszcze jeden sznurek. I ten, co zwłoki obmacywał, jakby nie wiem co chciał przy nich znaleźć, wyszarpnął i wtedy okazało się, że to żaden metal, żadna blaszka na tym sznurku, kawałek drewna jedynie, coś jakby deseczka maleńka, i on ją oglądał przez chwilę z dezaprobatą w twarzy, potem podał jednemu ze stojących obok, widać starszemu nad nimi, ze słowami, których ani ja, ani Zygmunt nie zrozumieliśmy, a tamten, nie oglądając wcale, cisnął to coś za siebie daleko w śnieg, jakby go sparzyło w dłoń.

Potem obszukiwali zwłoki tych dwóch starszych, a potem poszli dalej, gdzie leżało jeszcze dwóch, może trzech albo nawet więcej takich ze śniegu i lodu odczyszczonych; niemiecka zaś, której przewodził Głębocki, grupa robocza, rozglądając się, czy kogoś nie przeoczyli, powracała. Skądś się wziął ręcznie ciągniony wózek, i te już obszukane trupy nań ładowali i po kilka w stronę miasteczka odwozili, więc nie było na co dłużej patrzeć, podnieśliśmy się z Zygmuntem z kucek, ażeby iść, zwłaszcza, że dobrze przemarzliśmy, Zygmunt był lżej ubrany, szczękał zębami, „To czego się cały dzień włóczysz” ja na to, a on: „Żeby zapamiętać. Człowieku, tego się już więcej nie zobaczy”.

Ale jeszcze zanim poszliśmy sobie, powiedziałem do Zygmunta: „Widziałeś, no nie? Jak przeszukiwali tego młodego” i że to trzeba zbadać, w tym coś musi być, coś to pewnie znaczy, a Zygmunt: „Że co?”, „Że to tak odrzucił. Ten starszyna, czy jak mu tam” ja na to, a on: „No właśnie..., jakby zarazę jakąś...”, ja zaś zbliżyłem się do miejsca, gdzie musiało to coś odrzucone leżeć, odszukałem w śniegu, ze śniegu otarłem i krótko obejrzałem, a potem podałem Zygmuntowi, on obejrzał też i już wtedy się zamyślił. Gdy mi po chwili oddał, powiedział: „Dziwne”, a ja: „Dziwne – co?”, a on: „No, okoliczności... w jakich to oni znaleźli i w ogóle..., że on, ten młody, to tak przy sobie nosił. Na piersi. Nie sądzisz?”, i ja przytaknąłem z jakimś nagłym uczuciem niepokoju, lęku prawie. Potem milczeliśmy, znacząco na siebie patrząc; w oczach Zygmunta też widziałem niepokój i zastanowienie. Zrobiło się tak, jakby skądś podsunęła się do nas, otoczyła nas raptem i nas zmroziła fala jakiegoś przeraźliwego zimna. Bo już – a ja miałem czternaście i pół, Zygmuntowi zaś stuknęło dopiero piętnaście – zaczęliśmy rozumieć ten czas, jaki nadchodził i zaczynał nas zagarniać, niby za jakąś żelazną kratę, choć pewnie, gdyby nam ktoś wtedy powiedział, że nas zagarnie na długo i trwale, nie uwierzylibyśmy.

A to coś wydobyte spod munduru poległego to była niewiele większa od dłoni ikonka. Na cienkiej deseczce, starta po brzegach, pozbawiona już ostrzejszych kolorów. Ale jakkolwiek tak mała, to nie musiała być wygodna do noszenia na piersi, uwieszona na sznurku na szyi. Trzymając ją, zamyślony, na rozpostartej dłoni, przez chwilę pewnie nawet doświadczałem wrażenia, emanujących z niej resztek ciepła wchłoniętego kiedyś, kiedy ciało jej właściciela żyło jeszcze, lecz zaraz oprzytomniałem, przywołany do rzeczywistości rozkazalnym głosem Głębockiego. Bo to on obok nas nagle się pojawił (jego ludzie ładowali właśnie opodal zwłoki właściciela ikonki na wózek), widział, co sobie z Zygmuntem z rąk do rąk podajemy, co oglądamy, obserwował nas, powiedział, żebym mu ikonkę podał, wyciągnął nawet po nią rękę, i pomyślałem, że chce skorzystać z władzy, jaką Sowietci dali mu na ten dzień nad tymi innymi Niemcami (ja jednak nie byłem jednym z nich!), i chce mi ją zabrać, więc pewnie teraz nie okazałbym się wcale, jak wcześniej, kiedy mnie o swoją córkę pytał, taki miękki i byłbym mu napyskował od ostatnich, żeby

się odpieprzył, odchrzanił, odtentegował, gdyby on zaraz, widząc widać, co i jak, o krok szybko się był nie cofnął; Zygmunt, ode mnie roślejszy i silniejszy, już zresztą zaciskał pięści. Lecz Głębocki tylko powiedział pojednawczo: „To święty obrazek, ikona. Trzeba by oddać księdzu”, a ja: „Nie” powiedziałem twardo, „To innej, nie naszej wiary... Nie trzeba”, pomyślałem bowiem, że ksiądz mógłby obrazek rzucić do pieca i spalić, schowałem go do kieszeni, a Głębocki z ociąganiem się wycofał.

Potem staliśmy tam jeszcze dobrą chwilę i Zygmunt mówił: „Skurwiel jeden, na co mu to...?”, i patrzyliśmy, czy Głębocki podejdzie do rejestrujących zwłoki Sowietów i im coś powie czy nie, lecz nie podszedł, a z innymi Niemcami zaprzęgniętymi do tej pogrzebowej (czy jakby ją tam nazwać, nie wiem) roboty, wolnym krokiem oddalił się za wózkiem, zgarbiony. Powiedziałem: „Może go coś ruszyło...? Chciał dla siebie zachować...? Może z nadzieją, że ten prawosławny Bóg...”, na co Zygmunt: „I żeby się mógł do Niego pomodlić! Że też ty z wszystkiego operę robić musisz!” i temat był wyczerpany. Ale Zygmunt jeszcze po chwili powiedział: „Trzeba zapamiętać...” i ja też to powiedziałem: „Tak, trzeba zapamiętać”.

Nad nami niebo jeszcze resztkami światła dobrze jaśniało, ale słońce, gdyby go choć odrobinę było, osunęłoby się już dawno ku zachodowi, pożegnałem się więc z Zygmuntem i poszedłem do domu, zwłaszcza że tam bliżej miasteczka, przy mleczarni też nastąpiła cisza, jedynie taki jeden z biało-czerwoną opaską na ramieniu pilnował na podjeździe; nie było co oglądać. Coraz bardziej zresztą śnieżyło suchym, wymrożonym śniegiem, ja też porządnie przemarzłem.

Ta ikonka była jarmarczna, tak sklasyfikowała ją od razu tego samego wieczora moja matka. Prosta, wiejska albo co najwyżej małomiasteczkowa, w każdym razie biedna. Po latach dopiero, kiedy poduczyłem się trochę cyrylicy i czytania w tym alfabecie, zdołałem odsylabizować na odwrocie wyryte jakimś narzędziem, może zwykłym gwoździem, imię, już dość zatarte, ledwo widoczne: „Siergija”, co pewnie miało znaczyć, że jest ona Siergija, że należała do Siergija, tak myślę. Choć nie mam pewności, czy było to imię tego młodego właśnie, wygląda bowiem na dość starą.

Wędrowała potem ze mną i z moimi rzeczami z mieszkania do mieszkania, z miasta do miasta, lecz nie zabrałem jej ze sobą,

emigrując z kraju, pozostała w moim warszawskim mieszkaniu (w którym zamieszkali obcy, parokrotnie się zresztą przez lata zmieniający, parę razy z co cenniejszych rzeczy rozkradany), zagubiona wśród różnych bez znaczenia drobiazgów, bez znaczenia oczywiście tylko dla innych, dla mnie ważnych, pewnie dlatego, że dla innych bezwartościowa, ocalała, potem przywiózł mi ją na Zachód krótko przed ogłoszeniem w kraju stanu wojennego jeden z moich przyjaciół, któremu z mego mieszkania ówczesnie mieszkający tam ludzie pozwolili ją zabrać, a który znał jej historię i pamiętał, jak przedmiot ten cenię.

Tak więc wisi dzisiaj u mnie w tym obcym, cudzoziemskim, gdzie od wielu lat żyję, mieście. Na miejscu dość eksponowanym. Bo zawiesiłem ją na ścianie u siebie w pokoju w jednym pionowym rzędzie z dziewiętnastowieczną francuską akwarelą (także z kraju mi przemycaną), przedstawiającą z profilu prababkę mojej żony w kapeluszu i zakiecie do konnej jazdy, trafioną celnie dwiema kulami, raz w potylicę, drugi raz trochę niżej w kręgosłup, w połowie wysokości lewej łopatki, do której to portreciku strzelaniem z broni krótkiej, być może po pijanemu, zabawił się ktoś dobrze zaprawiony w tymże rzemiośle. Ikonkę czasem, przy okazji robienia porządków, ze ściany zdejmuję, ścieram z kurzu, czytam niezgrabnie wyryty, zacierający się napis na odwrocie, zawieszam z powrotem, jednocześnie zadając sobie wiele pytań, z których najistotniejsze brzmią tak: czy idącemu na front chłopakowi ofiarowała ją matka czy może babka, a im może jakaś inna istota od dawna nieobecna na tej ziemi, nakazując przekazywać dalej najbliższym (nie wiem dlaczego myślę wtedy o kobietach, zapewne dlatego, że to one wydają mi się strażniczkami tego, co najcenniejsze, czego bronić należy przez kolejne pokolenia), także, czy pochodził on ze wsi czy z miasta, i jak to się stało, że nie przerobił go na swoje kopyto sowiecki system, a wreszcie, czy naprawdę był wierzący, czy też niezgrabną tę deseczkę pod koszulę kładąc, spełniał czyjeś życzenie tylko, życzenie osoby mu drogiej, i nosił, nie chcąc sprawiać jej zawodu, nie bacząc na konsekwencje, gdyby ją przy nim odkryto, lecz do głowy cisną się jedynie różne takie, coraz bardziej wyszukane, skomplikowane i piętrowe przypuszczenia i historie; jak to nieraz w pewnym wieku bywa, że przywołujemy przed oczy wyobraźni obrazy przeszłości,

zwłaszcza z czasów dzieciństwa i młodości, z niewiarygodną wprost wyrazistością i z aż bolesną jasnością, mało możliwe natomiast z tą samą jasnością wydaje się ich wytłumaczenie – przypuszczenia mnożą się, stają się chwiejne, niepewne lub wieloznaczne, zostawmy więc to całe wydarzenie i jego prowadzący w przeszłość ślad i tego śladu trudne do odtworzenia dzieje bez żadnych komentarzy, tak będzie najlepiej. Najważniejsze, ażeby zbyt szybko nie przepadły w nieodparcie podpełzającej niepamięci, nie zagięły w czarnej nicości. Szkoda, że tą myślą nie potrafię już dziś podzielić się z Zygmuntem.

Grudzień – 2000 r.

Nie można cię samego zostawić o zmierzchu

Nagość kobiet. Pierwszy raz widział ją u schyłku tamtego lata, kiedy front przesunął się tak daleko na wschód, że nawet najsłabsze jego echo nie docierało do miasteczka. Aksamitna szarość spływała w dolinę wraz z drobno rozpylonym deszczem, znad rzeki unosić się zaczęła mgła. Ale było jeszcze dostatecznie widno, żeby kobietom tym się przyjrzeć. Tylko czy zdołał przyjrzeć się naprawdę? Czy widział wszystko dobrze? Czy w ogóle widział cokolwiek? Ileż to razy później przekonywał sam siebie, że o tej porze nie można dojrzeć wiele, albo że w rozpraszającym się świetle wieczoru widziane rzeczy przybierają niejednokrotnie kształty najbardziej nieprawdopodobne czy nawet odpychające, i nie muszą być wcale prawdziwe. Bo one były bez piersi, w tych miejscach zaś postrzępiona skóra odsłaniała sinoszkarlałe płaty mięsa i wyglądały strasznie. Więc na to pytanie, czy je widział rzeczywiście czy nie widział, niełatwo przychodziło mu sobie odpowiedzieć, choć pamięć nie mogła się ich pozbyć; niech Pan Bóg broni przed takim poznaniem czegokolwiek. Ledwo mu wtedy szło na dwunasty rok i nigdy nie przypuszczał, że nagość kobiet zobaczy w takich okolicznościach.

Poprzedniego dnia rano podwórzowy stróż Maksym, przezywany przez nich Wielkim Niedźwiedziem, wpadł gwałtownie do kuchni i już od progu powiedział: „Pohrom bude”, straszne słowo, którego lepiej by nie powiedział nigdy. I zrzuciwszy na przypiecek słomianymi powróslami powiązane wiązki drewna, stał zasapany, z wyrzutem spoglądając na kuzynkę Karolę, jakby nie spodziewał się jej tutaj w kuchni zastać i jakby chciał, aby sobie poszła. A choć ciotki z babką na niego zaraz naskoczyły z krzykiem: co? jak? gdzie? kiedy? i tak dalej, że też Maksym takie rzeczy pleść musi, sumienia nie ma, do tego przy dzieciach, i popędziły go za drzwi, to on jednak powtórzył w sieni z ponurym uporem: „Pohrom bude. Ja ta swoje wiem. Pohrom bude”, wymawiając to słowo w sposób, w jaki w babki domu nikt jeszcze nie wymawiał. A wieczorem to i feldfebel Rüdeck, co kwaterował w oficynie, odezwał się do przechodzącej przez podwórze mamy zagadkowo: „So ein schönes Städtchen muss doch endlich sauber werden, nicht wahr?”¹ i potem gapił się tak jakoś dziwnie

¹ Takie piękne miasteczko trzeba wreszcie oczyścić, nieprawda?

znacząco na dolinę i miasteczko w dolinie, że on, Marek, i Wiktor, jego starszy brat, też pomyśleli zaraz o tych otwartych rowach ściekowych ciągnących się wzdłuż niektórych ulic i że spływały nimi te brunatne popłuczyny z garbarni i jeszcze inne świństwa z domów biedoty nad rzeką, zasmradzające, zwłaszcza latem, całą okolicę, lecz się mylili, nie chodziło wcale o to, tylko o zupełnie coś innego.

Pojedyncze strzały zbudziły ich około piątej, może wpół do szóstej, dopiero co przejaśniło się trochę, a potem, gdy wyskoczyli z łóżek, to już pistolety maszynowe trzaskały na wzgórzach za unickim cmentarzem i kirkutem pod lasem tak raz za razem, jakby front, co od lata przetoczył się daleko na wschód, nagle powrócił, zatrzymał się w pobliżu miasteczka i je szturmował na nowo. W samych koszulach stali na strychu przy oknach, drżąc z chłodu i przejęcia, kuzynka Karola i on, Marek, przy jednym, Wiktor przy drugim, które uchylił na łokieć, więc słyhać było niezłe, i widzieli szare, okutane w poranną mgłę postacie ludzkie, toczące się po stokach uliczek w dół jak kamienie, popędzane przez szupowców, pomagających sobie kolbami, strzelających w górę, w powietrze, albo i niżej (bo czasem uciekający człowiek przystawał, machał przez sekundę lub dwie rękami i przełamawszy się w pół, zostawał już tak w tym samym miejscu, jak kupka szmat na ziemi), a w dolinie, nad poprzerastanym gęsto łożą brzegiem rzeki, potykając się o wystające z trawy korzenie, padając i znowu się podnosząc, pełzł, jak niekończący się wąż, umęczony tłum kobiet, mężczyzn, chłopców, dziewcząt, starców, drobnych dzieci – wszystko ludzi z okolicznych wsi i miasteczka.

Dopiero koło południa ostatnie odgłosy dalekiej strzelaniny ustały. W uszach jednak długo jeszcze rozbrzmiewał zdławiony deszczem, mgłą i odległością krzyk tamtych, których pognano w górę rzeki ku starym fortom ziemnym z czasu pierwszej wojny. Darmo babka wołała do stołu, darmo ciotka Weronika wyszukiwała ich zaszytych gdzieś po kątach i namawiała, nikt nie tknął jedzenia, w każdym razie oni we trójkę, a czy dorosli, to nie pamiętał, kilka lat już minęło, trudno byłoby mu orzec, czy mniej obfitych w różne straszne wydarzenia. Ale przed wieczorem nieprzeparta jakaś siła pociągnęła ich obu w tamtą stronę (to znaczy Wiktora i jego, Marka, bo Karola zamknęła się w pokoju ciotki Barbary i do nikogo się nie odzywała), żyli przecież z niektórymi z tych widzianych przez okno

o świecie ludzi zjednoczeni przez wojnę w małą wspólnotę, jednych znali bliżej, innych z widzenia albo ze słyszenia tylko, ale nieomal o wszystkich wiedzieli co nieco, więc teraz też chcieli wiedzieć, co i jak się stało, i dlaczego ciotki tak uparcie odmawiają wyjaśnień, modląc się nawet przy pracy w kuchni.

A miasteczko było już od południa jak wymieciono, bez żywego ducha. Nikt nie pokazywał się w uliczkach, nikt nie wyjrzał z okna, nawet w głębi podwórzy trudno byłoby dopatrzeć się jakiegoś ruchu; obok domu nie przejechała żadna furmanka, głupi Klemens, nosiwoda, ani razu nie przetelepał się z wiadrami zawieszonymi na koromysłach od dającej najlepszą wodę pompy przy rynku, komin kuźni nie dymił i młoty też tam nie dzwoniły. Niekiedy tylko pustkę i ciszę przemierzał marszowym krokiem niemiecki patrol, raz czy dwa razy przetoczyło się główną ulicą kilku pijanych szupowców, pokrzykując tu i ówdzie w zawarte na głucho okiennicami parterowe okna i bijąc w nie pięściami, alei po nich wkrótce nie zostało nawet śladu; krzyk ich utrzymywał się jeszcze czas jakiś w powietrzu, jak gdyby zagłuszyć chciał tamten rozpaczliwy krzyk, który wciąż huczał w głowach, lecz zagłuszyć go nie poradził. Więc w końcu dłużej nie mogli czekać i wymknąwszy się z domu, pobiegli tam obaj; o zmierzchu, zanim mgła na dobre zgęstniała w dolinie, znaleźli się na miejscu.

To było ze dwa kilometry w górę biegu rzeki, zaraz za fortami; teren dawnej piaskarni ciągnął się od fortów aż do samego brodu, poryty wyczerpanymi z szutru i żwiru żółtobrunatnymi dołami. Dopiero na drugi dzień Wiktor przypomniał, że to miejsce miało złą sławę już z czterdziestego roku, że to tam właśnie Sowietci zastrzelili nauczyciela z miasteczka, ukrywającego się przez całą jesień w fortach, i babka, widząc, że się zbliża Karola, kazała mu natychmiast zamilknąć, ale wtedy, kiedy zatrzymali się na połowie wysokości zarośniętej zielskiem i tarniną skarpy, to Wiktor nie mówił nic (tylko, patrząc, oddychał z głośnym sapaniem), bo dalej był już zupełnie odsłonięty teren piaskarni i oni tam wszyscy leżeli: Żydzi i Żydówki, trochę Cyganów z okolicy, gdzieniegdzie razem: kobiety, mężczyźni i dzieci, splątani, niemal w półobjęci, jakby kłębili się przed śmiercią, próbując wydostać się na wierzch albo chcąc się lepiej ułożyć (pewnie ich w te doły wpędzili i maszynowymi pistoletami

wysiekli), gdzie indziej to znowu osobno, w pierw mężczyźni, potem dzieci i jeszcze dalej same kobiety. Więc po raz pierwszy je takie zobaczył.

Wiktor wciąż sapał tak bardzo głośno, że gdyby ktoś był w pobliżu, mógłby usłyszeć, a pewnie był, bo zaraz skądś padł strzał, i nawet jeżeli nie dla jednego z nich był on przeznaczony, ten strzał, to jednak wydawało im się, że gwizdnął im tuż nad głowami, więc przywarli na krótko do skarpy. A te kobiety leżały w głębi jednego z dołów pod sypiącym się z góry drobnym, zimnym deszczem, tak drobnym, że nie rozpryskującym się po opadnięciu, ale osiadającym łagodnie, jak pył na żółtym piasku, na kamieniach, żwirze i na ich odartych ze wszystkiego ciałach, jeszcze pochłaniających resztki jesienno, spływającego ze wzgórz światła, połyskliwych, lśniących, jaśniejszych niż piasek i żwir, niż ziemia i kamienie, choć już zmierzchało tak szybko. Leżały obmyte z krwi, z ziaren piasku, z ziemi, okrutnie zamęczone, okaleczone, nieme na zawsze.

Ale czy istotnie mógł zobaczyć? A jeśli zobaczył, czy mógł naprawdę przypatrzeć się dobrze, skoro jeszcze zanim padł ten pierwszy strzał, już pewnie oczy miał zaciśnięte, potem leżał z twarzą ukrytą w trawie skarpy, jeszcze zaś potem, gdy biegli, to Wiktor trzymał go za rękę, ciągnął jak ślepca, wciąż bowiem oczy miał zaciśnięte, a przedtem nad tym dołem, tam niżej skarpy, to nie stali dłużej niż minutę i wcale nie myślał o nich, leżących tam w głębi, ale o matce, o ciotkach, o kuzynce Karoli, o tych wszystkich kobietach i dziewczętach, które jeszcze żyły, a które znał, lubił lub kochał, na które kiedykolwiek był przedtem patrzył i których był dotykał, jeżeli o wszystkich nich mógł rzeczywiście myśleć w tej jednej minucie albo dwóch, zresztą półprzytomny ze strachu. Bo dopiero gdy znaleźli się znowu w pobliżu fortu i Wiktor trzasnął go w kark, krzycząc mu w ucho, żeby się wziął w garść, to trochę otrzeźwiał i wziął się nieco w garść, i zaraz pognali ku rzece. A potem były podmokłe zarośla, wiklina i szuwary, i chlasnął za nimi drugi strzał, lecz już smagani długimi łodygami sitowia przedzierali się przez zarośnięty, bagnisty bród, poganiani jeszcze jednym strzałem albo dwoma, ale ich chyba nie słyszał wcale, jak również wołania, żeby się zatrzymali, później zaś to był las naprzeciwległym brzegu i dopiero dobrze po zapadnięciu nocy dotarli do domu. Babka siedziała przy kopczącej

stole lampie naftowej, odmawiała różaniec, lecz nie usłyszeli od niej jednego słowa wymówki.

Przez wiele dni, wiele tygodni później czuł się jakby w nim wszystko umarło; bo to najbardziej porażające, to było odkrycie, że człowiekowi zdarzyć się może coś dużo gorszego niż śmierć. Zwłaszcza gdy jest kobietą. Ale jak długo można żyć w takim stanie, ogłuszony, nieczuły, zamykający się w sobie, tak z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, myśląc, przypominając sobie tamto, budząc się w nocy, wciąż z tym samym snem, siadając na łóżku bez ruchu i bez słowa, tępo patrząc w ciemną pustkę, która nie była już nawet żalem, jedynie nieokreślonym wyrzutem, że czegoś się nie zrobiło, tylko czego? bo co mógł zrobić? najwyżej wykrzyzczyć się, wypluć te wszystkie słowa, które się zbierały w piersi, aż stały się uciążliwością nie do zniesienia, a przecież naprawdę miał dopiero dwanaście lat, świat wabił odkryciami i chciałby biec przed siebie, aż do zatraty tchu, aż do radosnego zamroczenia. Więc w końcu się zbuntował. I jeszcze później z całej mocy starał się widok tamtych okaleczonych ciał kobiecych wyrzucić jak najprędzej z pamięci, nigdy z Wiktorem o tym, co za fortami na piaskarni widzieli, nie opowiadali komukolwiek, nigdy też nie rozmawiali o tym między sobą, i może by mu się nawet w końcu udało, skoro tak bardzo chciał, zapomnieć zupełnie, gdyby nie Karola.

To zdarzyło się na początku zimy, bodajże w jeden z ostatnich dni adwentu; od rana bolało go trochę gardło, miał gorączkę, trzydzieści siedem i trzy kreski, mama nie pozwoliła mu wychodzić z domu, a na dworze śnieg pokrył ziemię po kostki, tam dalej rozlewiska nadrzeczne ściała lód, zmieniając je w naturalne ślizgawki i Wiktor z Karolą po obiedzie i odrobieniu lekcji zniknęli z domu, zabierając łyżwy, on zaś samotnie tkwił przy oknie z przyciśniętym do szyby nosem, czując, że teraz to już naprawdę się rozchoruje, ponury i rozżalony, straciwszy nawet ochotę na czytanie wypożyczonego tylko na krótko *Klubu Pickwicka*, tak że gdy przed podwieczorkiem ponownie zmierzono mu temperaturę, to się okazało, że podskoczyła rzeczywistość o następne trzy kreski. A potem wszyscy domownicy wybierali się do kościoła na roraty, które tego właśnie roku (po aresztowaniu miejscowego proboszcza ksiądz dojeżdżać musiał aż z R.) z godzin rannych przełożone zostały na popołudnie.

Babka przyniosła mu na poty herbatę z suszonych malin, osłodzoną miodem, nawet zagroziła postawieniem wieczorem baniek, choć jakże mogły banki pomóc na zaziębione gardło? nonsens! i kazała kłaść się do łóżka, lecz wiedział, że jeżeli się położy, temperatura podskoczy mu jeszcze wyżej. Więc tylko pozornie się zgodził, mówiąc, że jeszcze tylko zęby umyć musi, i siedział potem w łazience na brzegu wanny, z rozpaczą rozmyślając o porzuceniu przez wszystkich i że tak naprawdę to nie ma nikogo, dla kogo by cokolwiek znaczył. A wkrótce był już ten czas: sygnaturka wydzwoniła wezwanie do miasteczka. I kiedy wyszedł z łazienki, babka w długim czarnym futrze, z głową pod kapeluszem w czarnym szaliku związanym niżej wokół szyi w węzeł, stała już w sieni, laseczką niecierpliwie postukiwała w posadzkę, popędzała ciotki i mamę: „Szybciej, szybciej, panienki...” i zaraz wszyscy sobie poszli.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem czuł taki bezwład w sobie, aż taką dotkliwą samotność. Na dworze tężała sucha, srebrząca się mgła, na drzewach grubymi czapami ciążył biały puch i cienie od gałęzi kładły się na śnieżną ponowę w dole, bladoniebieskie, wydłużające się i pogłębiające. Nie było wiatru, była cisza i cały świat jakby zastygł zmrożony i zmartwiał, a on, Marek, tkwił wciąż przy oknie w jadalni, przygotowana zaś przez babkę herbata z malin dawno wystygła. I nie ruszał się, aż w końcu zapomniał, że miał się położyć. Potem, wciąż spoglądając przez zmatowiałe od zimna szyby, z których zewnętrzna obmarzła po brzegach w fantastyczne kwiaty i morskie rozgwiazdy, próbował recytować sobie z pamięci wiersze, bo różne dziwne myśli pchały się do głowy, a nie chciał ich tam dopuścić, i powoli, w miarę jak pokój ogarniał półmierzch, serce w nim cierpło, przez żyły zaś płynęła, raniąc boleśnie, lodowata kra.

Cały dom, prócz tego jednego miejsca, w którym siedział i w którym rozlegał się jego nabrzmiały podniosłą egzaltacją szept, powtarzający już po raz któryś te same strofy, był pełen milczenia przenikniętego przez różne nie tłumaczące się szelesty, szmery i odgłosy, które nie znaczyłyby pewnie nic, gdyby wszyscy sobie nie poszli, ale przecież nie bał się, to wcale nie był strach. Gdy był jeszcze bardzo mały, rodzice wiele podróżowali i brali ze sobą starszego Wiktora, jego zaś zostawiali pod opieką babki, lecz babka też często nie miała dlań czasu, a wtedy służąca Marysia sadzała go na

kanapie w bawialni i mówiła: „Siedź cicho, nie marudź, nie grymas, bo zobaczysz, przyjdzie ciotka C., która jest u siebie w pokoju, ma migrenę i chce, żeby w domu panował spokój...” albo: „Przyjdzie wujek K., który bardzo nie lubi kapryśzących dzieci i też jest u siebie w pokoju, i chce mieć spokój”. Ale ciotka C. i wujek K. nie żyli już wtenczas od lat, wiedział o tym dobrze. Więc siedział nieruchomo, bojąc się, zaciskając powieki, tając w sobie nawet oddech. Aż w końcu przywykł do umarłych. Zrozumiał, że mieszkają w domu dziadków obok żywych i nie są od nich ani lepsi, ani gorsi. A nawet, że umarli mieszkają obok żywych w każdym starym domu, ich drogi zaś i sprawy są wprawdzie nieodgadnione, ale powszednie. Więc teraz to na pewno nie był strach, jedynie te wszystkie niepotrzebne myśli, jak zwykle tłoczące się do głowy, gdy zostawał sam, i nie mógł sobie z nimi poradzić.

Potem wydawało mu się, że słyszy w kuchni ciurkającą do zlewu z kranu wodę, ale przecież zbudowaną krótko przed wojną stację ciśnienia, zaopatrującą wodociągi bogatszej części miasteczka, wysadzili w powietrze Sowieci przeddzień swej ucieczki i już kilka miesięcy woda stała w kuchni jedynie w beczce, napełnianej raz dziennie wiadrami przez tutejszego przygłupa, Klemensa, więc z suchego kranu nic nie mogło ciurkać. A jeszcze potem, to posłyszał, jak mruczy i ociera się o nogę stołu w sieni kot, tylko że ostatni kot babki zdechł ubiegłej jesieni, na wzięcie zaś do domu następnego babka nie zdecydowała się dotychczas; taka to była sprawa. Więc chwilę zastanawiał się, czy to nie myszy, bo myszy zawsze na zimę wkradają się z dworu do domów, zwłaszcza do tych, gdzie nie ma kota, ale nie potrafił sobie przypomnieć, żeby jakąś, choć jedną, kiedyś tutaj widział i później pomyślał, że to być może hałasuje stojący na podeście piętra zegar i echo chrobotu jego mechanizmu rozchodzi się tak szeroko po domu, ponieważ nikogo nie ma, nie był jednak przekonany, czy to naprawdę zegar i czuł, że temperatura podniosła mu się teraz znowu o dalszych kilka kresiek. W końcu usłyszał na górze trzaśnięcie drzwi i zaraz kroki, więc wtedy to już wiedział, że na pewno coś niesamowitego się zdarzy (trzeba znieść wszystko mężnie, mówił sobie prędko), ale zacisnął jedynie silniej powieki, przytulił oddech i liczył te kroki, starając się myśleć o czymś innym. Kroki jednak zatrzymały się w połowie schodów i nagle głos Karoli

zawołał stamtąd pytająco: „Marek? Jesteś tam?”, tak że przez chwilę jeszcze myślał, że zasnął i wciąż mu się śni. Lecz gdy na ponowne jej wołanie wybiegł do sieni, Karola, jak najbardziej rzeczywista, wychylała się poprzez poręcz schodów z miną zniecierpliwioną, nieco tajemniczą, ubrana w jakieś niestworzone rzeczy, w suknię jak krynolina, czy coś takiego podobnego. Aż w duchu jęknął ze zdumienia.

– Miałaś leżeć w łóżku, no nie? Więc co tutaj robisz? – mówiła ważnym tonem, rada, że może mu przyganić.

– A ty? – zapytał. – Przecież miałaś iść do kościoła... – I usłyszawszy w swym głosie ulgę, zawstydził się.

– A miałam! Ale rozboleło mnie gardło. Babka kazała mi zostać – powiedziała Karola.

– To ciebie też rozboleło? Nie mów...

– A co, nie mogło? Mogłeś mnie zarazić. Ale ja chciałam zostać – przyznała po chwili.

Przypatrywał się jej strojowi zaintrygowany, lecz to uczucie ulgi było w nim wciąż tak wielkie (choć za nic na świecie, nawet w myślach, by się do tego nie przyznał), że nie chciał jej płoszyć jakimś pytaniem; Karola, od kiedy przerosła go o pół głowy, stała się nieprawdopodobnie ważna, nieprzystępna, przybierająca różne dziwne pozy (ale przecież wybaczał kuzynce wszystko i przez myśl by mu nie przeszło zmienić swój stosunek do niej dlatego tylko, że przewróciło jej się w głowie), więc tylko mruknął:

– Sama chciałaś zostać? No, no...

A ona na to:

– Gadasz jak najęty jakieś wiersze, hałasujesz na cały dom – skarciła go. Wyraźnie naśladowała głosem mamę albo którąś z ciotek.

– No, nie przesadzaj – powiedział lekko urażony. – Zupełnie cicho. Uczę się na pamięć *Pana Tadeusza*.

– Na pamięć?! Całego?!

– Całego – przytaknął chełpliwie.

W jej oczach pojawiło się na krótko uznanie, zaraz jednak powróciła do poprzedniego tonu.

– To się chwali. Ucz się, ucz, chłopcze, pożyteczniejsze to niż włączenie się gdzieś po wertepach. – I po chwili, znów nie swoim głosem: – Chodź no tutaj do mnie. – Zeszła mu naprzeciw na podest

półpiętra, a on posłusznie zbliżył się i wspiął o kilka stopni w górę. Karola wyciągnęła wtedy rękę, przyłożyła płasko dłoń do jego czoła i znieruchomiała, z namysłem wznosząc oczy pod sufit. – Masz pewnie trochę podniesioną temperaturę – powiedziała wreszcie z dość pobłażliwym zrozumieniem. – Poza tym zdrow jesteś, jak chłop. Nie należy się rozpieszczać.

Wprawdzie nie wydawało mu się, żeby porównanie do chłopca było najszcześniejsze, bo przecież miejscowi chłopci chorowali tego roku równie często, jak niechłopi, ostatniej jesieni nawet dużo częściej, nie chciał się jednak z nią sprzeczać. – Oczywiście, że jestem zdrow – przyznał i dalej starając się nie zdradzić zaciekawienia jej strojem, zapytał: – Więc sama chciałaś zostać w domu? – A Karola roześmiała się, ale tak jakby jej myśli i uwaga nie brały w tym udziału. Po chwili powiedziała z ociąganiem:

– No, jeżeli nie będziesz przeszkadzał, to możesz ewentualnie iść ze mną... – słowo „ewentualnie” podkreślając. I zaraz: – No dobrze, chodź na górę – zdecydowała. Potem, już nie oglądając się, czy za nią idzie, poprowadziła go do pokoju babki i tam nakazała: – Siadaj. I siedź cicho.

Więc siedział później na kozetce wciśnięty w stertę haftowanych przez ciotki ręcznie poduszek, darowywanych babce na każde imieniny i urodziny, Karola zaś krygowała się bez słowa przed wielkim lustrem między oknami, przymierzając wyciągane jedna po drugiej z szafy suknie babki i gdyby nie od czasu do czasu rzucane ku niemu znaczące spojrzenia, pomyślałby, że o nim zapomniała.

Tymczasem mrok na dworze pogłębiał się, światło w pokoju rozpraszało się, po kątach zaś czaił się już prawdziwy mrok i należało zapalić lampę. Ale kiedy tylko o tym wspomniał, Karola ofuknęła go, że nie, jeszcze za wcześnie, trzeba oszczędzać naftę. Więc siedział dalej cicho i w ten sposób minął pewnie z dobry kwadrans, może więcej, i wprawdzie nie dłużyło mu się, był zadowolony, że nie musi siedzieć sam w pokoju na dole, gdzie dochodzą z kuchni odgłosy ciurkającej z suchego kranu wody albo gdzie słychać, jak mruczy i ociera się w ciemnej sieni o nogę stołu kot, który zdechł już zeszłej jesieni, a po kątach skrzypi, trzeszczy i szeleści, to jednak korciło go, by zapytać, co ona tu, w babki pokoju, robi i co znaczy to całe jej przebieranie się. Wiedział jednak, że jeżeli tylko się odezwie,

zdradzi, że jest ciekaw, to zostanie znowu ostro ofuknięty, a może nawet, jak przedtem na schodach, nazwany chłopcem. Uzbroidł się więc w cierpliwość i minę starał się mieć obojętną. Karola tymczasem dalej buszowała w przepastnej szafie babki, nie odzywając się do niego ani słowem.

Te suknie, które wyjmowała i przymierzała, musiały być sprzed wielu lat, nigdy nie widział, aby babka je nosiła, nigdy zresztą nie widział, aby ktokolwiek takie nosił, krój zdradzał modę znaną mu tylko z fotografii, i zrazu wydawało mu się to nawet zabawne tak przyglądać się, jak kuzynka je przymierza, jak wciąga na sweterek i spódniczkę, jak ogląda się w każdej z nich uważnie w lustrze, potem ściąga przez głowę lub nogi, wciąga następną, znowu ogląda się ze wszystkich stron, przybierając przy tym różne przedziwne pozy: podnosząc ramiona, wspinając się na palcach, wysuwając do przodu klatkę piersiową i spłaszczając brzuch, albo ściskając klatkę piersiową i wypinając brzuch, a jej miny są w czasie tych czynności jeszcze dużo dziwniejsze niż pozy. Aż wreszcie przyszło mu do głowy, że może cała ta maskarada jest próbą zakpienia sobie z niego albo po prostu chce mu za coś tam, czego on nie pamiętał, dokuczyć, niejedną raz wykorzystywała sytuację, aby dać mu odczuć, że ma te głupie półtora roku od niego więcej. Postanowił się więc nie odzywać. Tym bardziej że z otwartej babcinej szafy szedł przyjemny, trudny do nazwania zapach, wysunięte z komody szuflady też pachniały przyjemnie świeżością bielizny, a całe otoczenie, jednocześnie w mroku i w dziwnym, z dołu napływającym przez okna świetle, robiło wrażenie tajemnicze i niezwykle. Szafa, komoda, łóżko babki, stół, nawet fotel były jak śpiące, ociążałe, leśne zwierzęta, krzesła przypominały odpoczywające na ziemi z opuszczonymi skrzydłami ptaki, a bujany fotel z giętych prętów bambusa wspinał się jak jeleń do skoku. W czarnej ramce zdjęcie dziadka, zabranego z domu i wywiezionego w czterdziestym roku, wydawało się na ścianie jedynie jasnym kwadratem z ciemną plamą pośrodku, a jego pierwszy i ostatni jednocześnie list z Karagandy, oprawiony przez babkę jak jakaś relikwia w taką samą ramkę, wiszący obok, wydawał się szarą płaszczyzną, przez którą prowadziły niezrozumiałe, rozmazane linijki, nie przypominające w niczym kaligraficznego pisma dziadka. Tylko fotografie ciotek w jasnych sukniach, stojących

albo siedzących na tle słonecznego ogrodu błyszcząły, jakby teraz wydzielały z siebie pochłonięte za dnia światło, wyraźnie odcinając się od niemal czarnych w mroku tapet.

Karola wciąż jeszcze nie zapalała lampy, więc mrok, ciepło pokoju i miękkość poduszek babki sprawiły, że w pewnym momencie poczuł senność i żeby nie zasnąć, zaczął w myśli znowu recytować wiersze, tak że nie spostrzegł w porę, że kuzynka od jakiegoś czasu stoi odwrócona doń przodem, patrzy na niego, w jej zaś oczach jest niecierpliwe oczekiwanie, nawet pytanie i gorączkowa jak gdyby egzaltacja. Przypomniał sobie wtedy, że jeszcze tam na schodach powiedziała, że ją boli gardło i pomyślał, że pewnie ma jak on również temperaturę; już chciał się odezwać, ale w ostatniej chwili z trudem się powstrzymał, a ona odezwała się sama z nadzieją pomieszaną z niepewnością w głosie:

– No, co myślisz, któraś z nich nadaje się na tę okazję?

– Co, nadaje? – nie zrozumiał.

– Któraś z tych sukien babki.

– Jak to, czy się nadaje...?

– No, dla mnie! Wzięłam cię tu ze sobą, bo myślałam, że coś poradzisz! Co robisz minę, jakbyś kołek połknął? Przecież wiesz, że występuję w jasełkach u pani Krzyżanowskiej. Że w tym roku będę grała Najświętszą Marię Pannę.

– Czy nadaje się dla ciebie...? – pytał jeszcze, ale już otrząsnąwszy się z zaskoczenia i zaczynając pojmować. Oczywiście o jasełkach nie wiedział, widać pani Krzyżanowska omawiała przedstawienie ze starszymi tylko uczniami, ale zrobił minę, jakby wiedział doskonale wszystko. – Czy się nadaje? Ta ostatnia czy któraś z tamtych? – zapytał, próbując zyskać na czasie.

– Którakolwiek... – Krótkie zniecierpliwienie Karoli przypadło, ale w jej głosie wciąż jeszcze była nadzieja, tyle że teraz na wpół z rezygnacją. – Babka pozwoliła wybrać. Tylko na razie nie mam nikomu mówić.

– Trochę one stare... No, niemodne – poprawił się szybko.

– A ty myślisz, że Najświętsza Maria Panna musi mieć modną suknię?! Nową to może tak. Ale modną? – mówiła z rozżaleniem Karola. – Już dawno zapomniałam, kiedy miałam ostatnio nową. Przed wojną. Kto mi teraz sprawi nową na jedno przedstawienie.

– Och, te są przecież też jak nowe – poprawił się szybko. – Nie myślę, żeby babka je długo nosiła. Te trzy pierwsze, balowe, to pewnie nie więcej niż raz albo dwa miała na sobie. To widać. Tylko że jak na Przenajświętszą Pannę to chyba nie bardzo się nadają. Ale te następne też są piękne. Może tylko za długie, a w pasie i biodrach trochę za szerokie.

– Urosłam z pięć centymetrów albo i więcej od zeszłego roku.

– No właśnie, powinny prawie pasować. Są piękne! – Był zdziwiony, że aż tyle naraz na tak obcy sobie temat zdołał powiedzieć, lecz czuł, że jednak coś jeszcze nie jest w porządku, że nie potrafi do końca rozproszyć wątpliwości kuzynki; trudno mu było patrzeć na jej rozżalenie, a zawód w jej oczach ścisnął mu serce. Ale nic innego nie przyszło mu do głowy, jak jeszcze raz powtórzyć tylko, że są naprawdę piękne. Ona jednak powiedziała już rzeczowo:

– Babka mówi, że jesteś teraz równe w ramionach, a to najważniejsze. Resztę się przerobi, odpowiednio upnie i zrobi kilka zakładek. – Szybko ściągnęła do tyłu fałdy dołu sukni, przesunęła dłonią po płaskim brzuchu, po wystających biodrach, wygładzając jakieś niewidzialne zagniecenia materiału, uniosła rękę w górę, przesunęła dłonią po piersiach, potem opuściła obie ręce bezwładnie w dół i tak samo rzeczowo zapytała: – Jak myślisz, jest mi w tym do twarzy? – i okręciła się wolno na pięcie, jeszcze raz patrząc krótko w lustro, a potem całą sobą zwróciła się ku niemu.

W mroku nie widział teraz wcale jej oczu, nawet twarzy. Tylko jej postać obrysowaną dokładnie tamtym nikłym, lecz ostrym światłem napływającym z tyłu przez okna, z dworu. Szczupłą, większą raptem niż zawsze, doroślejszą, tak mu się przynajmniej zdawało, i dalszą. Jak gdyby w tej właśnie chwili, kiedy stała przed nim w jasnoróżowej sukni babki (być może uszytej na okazję jakiegoś ogrodowego pikniku), która pewnie najbardziej jej się podobała, skoro włożyła ją jako ostatnią, zaczęła się nagle przeobrażać w kogoś zupełnie innego i oddalać od niego, przypominać do złudzenia postać ze starej fotografii albo portretu, stając się jeszcze bardziej daleką i niezrozumiałą w tym, czego od niego oczekiwała, a mianowicie: żeby zgodził się, że właśnie wybrana przez nią suknia się nadaje, on zaś w niczym się nie zmienił, był dokładnie taki sam jak wczoraj i przedwczoraj, i myślał tylko zaskoczony i zmieszany o zmianie, jaka w niej zaszła

i o tym, że nawet gdyby mógł teraz widzieć twarz Karoli i jej oczy, to też nie wiedziałby, co ma jej odpowiedzieć, przerosła go bowiem nie tylko o pół głowy, ale i jeszcze jakoś inaczej... Bo czy on znał się na sukniach? Czy kiedykolwiek tym się interesował? I jakie one muszą być, te suknie? Żeby w nich było do twarzy?! A równocześnie, żeby wyglądało się jak Maria Panna?! Co on mógł powiedzieć o ubiorze dziewczyn? A tym bardziej jeszcze o ubiorze Marii Panny? Zresztą, co to jest do twarzy? Czy to znaczy, że do figury, czy tylko do twarzy? Tak myślał pełen wątpliwości, a może nawet powiedział coś takiego głośno, później nie pamiętał. Nieba by kuzynce przychylił, zwłaszcza że nie musiał teraz sam siedzieć w pokoju na dole, tylko że naprawdę nie znał się na tym. Ale jego niezdecydowanie musiała Karola wytłumaczyć sobie opacznie, bo gdy znowu się odezwała, wyczuł w jej głosie tym razem prawdziwą rezygnację.

– To wszystko przez tę przekłątą wojnę! Gdyby się wreszcie skończyła, to dostałabym naprawdę pasującą do takiego przedstawienia suknię. I potem mogłabym ją jeszcze nosić całe święta. I na różne inne uroczyste okazje też.

– Och, co ty mówisz, co mówisz, to naprawdę piękna suknia!

Ale Karola stała prosto, nieruchomo, nie słuchała, co on mówi, albo nie słyszała, nieuważna, dziwna, niemal dziko wpatrująca się w mrok, w miejsce, w którym siedział. Wtedy zdecydował się rozpaczliwie i powtórzył z przekonaniem:

– Nie masz racji. To nie tylko suknia bardzo piękna. Ona jeszcze do tego wygląda jak nowa. A myślisz, że babka byłaby taka skora do szastania pieniędzmi na drogę materiały? Nawet, gdyby to było już po wojnie...? – A potem zupełnie bez namysłu, jak gdyby swoim ustom nakazał jedynie mówić, a one już same wiedziały i mówiły to, co w takich okolicznościach mówić chyba należało, jeszcze raz powiedział bez cienia hipokryzji: – Będziesz w niej wyglądała wspaniale! Od dołu trzeba tylko skrócić z dziesięć centymetrów i ująć trochę w pasie. A wyżej, to nawet teraz leży jak ulał. I jest do twarzy. Do twarzy i do figury – dodał. – Kto dziś taką suknię może mieć? Wyglądasz jak prawdziwa Matka Boska z jakiegoś świętego obrazu. Mogę ci wyszukać odpowiednią ilustrację w którymś z albumów dziadka.

Więc wtedy Karola zawahała się. Powiedziała: – No, może masz rację – widać chcąc uwierzyć. – Ale jeżeli mówisz tak tylko, żeby

mnie pocieszyć... Nie lubię, żeby mnie pocieszano! – A po chwili, już być może przekonana: – Tak... gdyby skrócić i w biodrach zwęzić, to może rzeczywiście byłaby w sam raz. I trochę wciąć w pasie. No, a w ramionach trochę podnieść, no nie...? – I wciąż patrzyła na niego wprost, a jemu, choć dalej nie widział jej oczu ani twarzy, a tylko domyślał się ich wyrazu, wydawało się, jak gdyby w niej coś odtajało.

Na jej pytania zrazu nie odpowiedział, a potem było już za późno, żeby odpowiedzieć, zresztą zupełnie nie wiedział, co miałby odpowiedzieć i był szczęśliwy, że ona znowu zajęła się sobą. Poprawiała coś w sukni na biodrach, obciągnęła w dół z jednego boku, podciągnęła w górę z drugiego, krótko męczyła się z rękawami, szarpiąc je niecierpliwie, aż w końcu ponownie odwróciła się do lustra, a on, nie odrywając od niej wzroku, myślał o wojnie, właściwie zaś niezupełnie o wojnie, ale o dziewczętach i o ich sukienkach na różne okazje. O tych sukienkach, które w rzeczywistości nie są wcale nowe, bo po kimś i wcale nie cieszą, skoro przedtem ktoś inny je nosił i trzeba je przerabiać. I że w końcu to wcale nie jest takie pewne, że naprawdę pasować będą na Najświętszą Marię Pannę. Bo czy Najświętsza Maria Panna może nosić suknię z dekoltem na plecach? Nigdy dotychczas nie był zmuszony myśleć o tak skomplikowanych i zawiłych sprawach, dopiero po raz pierwszy teraz, i od tego uciążliwego myślenia poczuł zawrót głowy.

Światło od okien ześlizgiwało się z ramion i bioder Karoli, na których wciąż jeszcze wyglądała napięty materiał sukni, tyle że już ruchami powolnymi, ustającymi. To, co robiła, co mówiła, było dla niego (nie wiedział dlaczego) ogromnie smutne, niezupełnie realne i zrozumiałe, ale fascynujące. Nikt nigdy podobnie z nim nie rozmawiał, nikt się go nie radził, jak ona, nie oczekiwał od niego w takich sprawach odpowiedzi. Dobrze, że go w tej chwili nie widzi ani nie słyszy Wiktor, myślał, dopiero by się śmiał. Ale miast zmartwienia, poczuł dumę. Czuł także nieznaną dotychczas falę ciepła przenikającego go raptem całego. A gdy jeszcze Karola z resztką niepewności powiedziała, że suknia przerabiana nigdy nie leży tak jak powinna, i żeby do reszty ją przekonać, wstał z kozetki i podszedł kilka kroków bliżej, a potem jeszcze bliżej, stając obok Karoli, to czuł, jak ta fala ciepła się wzmogła i go ogarnęła. Otwierał się przed nim jakiś nie dostrzegany przedtem nigdy z bliska niezwykle świat.

I on w ten świat wkraczał. Był to świat dziewczyn i kobiet i to było tak cudowne, że serce waliło mu w piersi jak młotem.

– Nie leży jak powinna – powiedział, w swym głosie z satysfakcją słysząc ton znawstwa i pewności – bo włożyłaś na spódniczkę i sweterek. No, a jak jest z tyłu dekol, to muszą być gołe plecy, powinnaś wiedzieć. Zresztą jest za ciemno i nie widzisz dobrze. – Odgarnął na bok firanę w jednym z okien, żeby do pokoju wpuścić więcej światła, choć już zmierzch zapadł na dworze prawie na dobre. I stał potem w oknie, słysząc szelesty ruchów Karoli i materiału, ale nie patrzył na nią, lecz na szerokie, puste przestrzenie pomiędzy drzewami w sadzie, zatopione już w księżycowej poświacie i było mu dobrze. Za dachami gospodarskich zabudowań ciągnęły po sinym niebie prześwietlone na wskroś obłoki, przypominające leniwie poruszające się w śniegowych górach polarne niedźwiedzie, a nad nimi księżyc w pełni, podobny do brylantowej lzy, raz po raz wypływał z ciemnogrnatowej toni i znowu się w niej zanurzał. Było mu tak dobrze, jak nigdy jeszcze przedtem w życiu. Z zamyślenia wyrwał go dopiero głośniejszy szelest. To Karola ściągała przez głowę tę jasnorożową suknię babci, którą bez wątpienia już wybrała, pomóż, mówiąc, zrobił to niezręcznie, a potem zrzuciła z siebie sweterek i spódniczkę, i powiedziała:

– Chyba masz rację. To dlatego tak nieszykownie leżała. – Przysunęła się bliżej do lustra, przyłożyła suknię do ramion i przytrzymując ją dłońmi, i przyciskając do szyi brodą, oglądała jak na kimś drugim; namyślała się, coś pomrukując do siebie przez wydęte krytycznie wargi. – Tak, taką z dekoltem nosi się na gołe plecy – potwierdziła wreszcie. Odłożyła suknię na bok, ściągnęła z siebie także podkoszulkę i zaraz (znowu) założyła suknię. Była na niej teraz luźniejsza i ona to czuła, a on posłyszał zaraz poprzednie wątpliwości w jej głosie, gdy powiedziała: – No widzisz, jednak sporo za duża.

– Za duża, za duża, to tylko tak się mówi! – rozzłościł się. – Przecież sama się zgodziłaś, że trzeba trochę odjąć w pasie i plecach. I trochę skrócić. Centymetr mniej, centymetr więcej, cóż za sprawa!? – Ujął materiał z tyłu w dwóch miejscach w dłonie i naciągnął. – O, widzisz, już leży.

A ona przypatrywała się sobie w mrocznym lustrze, potem powiedziała: – No dobrze, niech już będzie. Powiem babce, że chcę

tę właśnie. Gdybym miała trochę więcej biustu, to byłaby może tu w sam raz, ale tak... Chyba że się trochę wypcha watą.

– No, może trochę – kiwnął głową.

– Na pewno – powiedziała rzeczowo Karola – Matka Boska od Dzieciątka musi coś tutaj mieć. – Zdejmowała suknię i stała teraz blisko, odwrócona w jego stronę całą sobą, tylko w majteczkach i pasku, do którego doczepione były cztery gumki trzymające w metalowych żabkach pończochy. Zastanawiał się nad tą watą, o której powiedziała.

– Muszą napęcznić – powiedziała trochę z niecierpliwością. Ujęła swe drobne piersi w dłonie i ścisnęła je, wypinając jednocześnie klatkę piersiową do przodu. – To chyba nie potrwa długo. Piję teraz dużo mleka.

– Ja też tak myślę, że niedługo... – przytaknął ledwo dosłyszalnie. To, co przyciskała w dłoniach, w zamyśleniu jakby sprawdzając i wążąc, było zaledwie takie, jak dwie rozpychające się pod skórą połówki rozciętej piłki tenisowej, wyglądające w blasku od śniegu za oknami i dalekiego księżycy niezwykle białe, na czubkach zaś zupełnie czarne. Zdawało mu się, że w całości mieszczą się w zaciśniętych Karoli piąstkach, ale gdy tak patrzył, to już jak gdyby się zmieniały, pęczniały i rosły w oczach. Więc wtedy:

– Na pewno napęcznieją, możesz być pewna – wykrztusił, gardło mając nagle suche, jakby w początku nie tylko zaziębienia, ale i dodatkowo anginy. A one jak gdyby znowu się zmieniały, raz były, raz ich nie było, pęczniały albo znikwały sprzed jego oszołomionego wzroku. I próbując otrząsnąć się z przywidzenia, powoli wyciągnął rękę, kuzynka zaś przysunęła się wtedy o pół kroku, nie mówiąc nic, tylko na niego patrząc. Potem dotknął jednej z wypukłości i nacisnął ostrożnie. A potem, bo ona nie poruszyła się i znowu nie powiedziała nic, ujął jeszcze ostrożniej w palce i poczuł, jak pod nimi twardo i ciasno uformowane ciało ustępuje miękko, niby gąbka, ciepłe, dziwne, obciążone gładką skórą. Aż nagle, zanim oderwał dłoń, tamto straszne przypomnienie sprzed miesiący zatrzęsło nim całym, podcinając oddech. I się cofnął.

Tylko że wtedy gdzieś niedaleko za oknami przed domem odezwały się głosy powracających z kościoła z miasteczka kobiet. Karola szybko chwyciła z poręczy krzesła złożone tam swoje rzeczy i zaczęła się ubierać. Ponagliła go:

– Zmykaj teraz! I żebyś nikomu nie mówił, że już sobie tę suknię wybrałam. Ja już tak babce zawrócę w głowie, że mi sama ją da.

Ale on nie słuchał. Dopiero gdy popchnęła go, pobiegł ku drzwiom. Zaraz potem, jak szalony, biegł po schodach na dół i kiedy wpadł do swojego pokoju, rzucił się, nie zapalając lampy, na nierozścielone łóżko, dusząc w sobie łzy, krztusząc się szlochem i zaciskając pięści. Tylko że niewiele to pomagało. Łzy płynęły obficie i nie do powstrzymania, gorące, słone, piekły w gardle, jak ogień, szloch ścisnął gdzieś w krtani i tamto przypomnienie, tamten widok okropny z jesieni, ten dół na piaskarni, wypełniony trupami okaleczonych kobiet, nie chciał sprzed oczu przepaść. Ciągle jeszcze czując wewnątrz dłoni drobną pierś Karoli, jak ustępuje pod naciskiem palców miękko, i myśląc, co zrobiliby, gdyby to i z nią się tak jak z tamtymi stało, nie mógł tych łez powstrzymać i się uspokoić. Później nie słyszał nawet skrzypnięcia drzwi, nawet mamy pytania od progu, co się z nim dzieje. Ale pod powieki zaczęło mu wciskać się światło niesionej przez mamę karbidówki i usłyszał zbliżające się kroki. A gdy jeszcze później usiadła przy nim na łóżku i jej dłoń spoczęła na jego głowie, gdy jej palce zanurzyły się w jego włosy, głos zaś nabrzmiały troską i czułością dalej pytał go, czy zdarzyło się coś złego, nie odpowiadał i łzy płynęły mu z oczu nieprzerwanie, tyle że w milczeniu, choć jej głos nachylony nad nim pytał wciąż powoli, uspokajająco, już jednak wcale nie domagając się od niego odpowiedzi.

– Zasnąłeś nad książką? Może masz znowu wyższą gorączkę? Pewnie ci się coś śniło? Coś niedobrego pewnie? Jakiś koszmar, co? Zapomnij, sen mara... – I zaraz jej ręce dźwignęły jego głowę i przycisnęły do piersi. – Taki duży chłopak i snów się boi. Nie można cię samego zostawić o zmierzchu, chłopcze... – mówił dalej głos mamy i już brzmiał w nim żartobliwy śmiech. Ale on zacisnął jeszcze silniej powieki i czując przez suknię, jak ciepłe wypukłości jej piersi oddychają, drżał. To było w trzecim roku wojny i miał dwanaście lat.

1976 r.

Zasypie wszystko, zawieje... (rozdział III)

Wpierw był mrok. Spowijał ciało jak czad, dym, jakżeby więc mógł przeczuć cokolwiek? Nawet w chwilach, kiedy budził się na krótko czy też odmykał powieki, nie budząc się wcale, słysząc tylko dzwonięcie telefonu w sieni, kroki, jakąś niezrozumiałą krzątaninę w swym pokoju, słowa: że sędzia, wuj August, coś tam w Krzyżtopolu, że Aleksy, że Durchlassenschein, których sensu nie pojmował, albo wyławiając z grząskości raptem intensywniejącego światła sylwetkę matki czy pochylającą się nad jego twarzą zatroskaną twarz którejś z ciotek. Potem mrok pękł raptem na dwoje, kiedy Róża, pokojówka, wniosła do pokoju tacę ze śniadaniem, stanęła nad łóżkiem, zaczęła przypatrywać się mu z wyrazem załęknienia w oczach, jak bezradnie wiosłuje rękoma na poduszce, ciągle jak gdyby nie mogąc się ze snu wyrwać, a przez pozostawione otworem drzwi znowu wtargnęły do wnętrza odgłosy nerwowego pośpiechu w reszcie domu, głośniejsze, bardziej natarczywe niż przedtem, choć przecież nie mogło się nic takiego zdarzyć, co by je tłumaczyło (tylko że on nie starał się dociec czegokolwiek – ani dlaczego ta dziewczyna stoi tuż obok, ani dlaczego nie ma zamiaru wyjść z jego pokoju – bo może dalej spał, usiłując z trudem wytrzymać jej uważny wzrok), aż wreszcie jego słuch wyodrębnił spośród wszystkich innych dźwięków kroki Katarzyny.

Więc chyba dopiero wtedy coś przeczuł. A właściwie parę sekund później. Kiedy Katarzyna ukazała się na progu, przekroczyła go, mimo że nigdy przedtem tego nie robiła i – znając ją wiedział – nie powinna była tego zrobić, prawdę zaś mówiąc, to jeszcze później. Kiedy sobie uświadomił, że odgłos jej kroków jest inny niż zawsze, i spostrzegł, jak Róża umyka, jak gdyby zdmuchnął ją przeciąg. Właśnie wówczas już naprawdę to przeczuł. Zanim usłyszał pierwsze z owych dwóch zdań, jakie Katarzyna wypowiedziała (wzburzonym, hamowanym głosem): „Nic w ten sposób Aleksemu nie pomożecie, to nie jest mu potrzebne, a sami możecie nie wrócić!”, po którym spoglądali na siebie w zdumieniu, jak gdyby dopiero teraz nawzajem się zauważyli: ona – jego na łóżku, w rozchelstanej na piersiach piżamie, z tą szklanką po mleku wciąż jeszcze w dłoni, on – ją, pierwszy raz od kiedy zamieszkała pod glebowieckim dachem przed trzema laty, stojącą w głębi jego kawalerskiej sypialni. A potem padło zdanie

drugie: „Zresztą rób, co chcesz, to wasza rodzinna sprawa”, tyle że wypowiedziane już przez nią głosem nie tym samym, lecz zrezygnowanym, pogodzonym, prawie że uległym, i zaraz odwróciła się wolno i dotknęła czoła dłonią jednym z owych nieświadomych gestów, które nic nie znaczą, ale które zapamiętuje się na zawsze.

Jeszcze nim wyszła, zdążył pomyśleć, że tego drugiego zdania nie musiała wcale powiedzieć. „TO” już w niej było. Przecież przeczuwał, czego żąda od niego rodzina, prócz jej jednej, Katarzyny, której może bardziej niż komukolwiek zależeć powinno na tym, co miał zrobić dla brata. Ale już drzwi się za nią zamknęły. I zaraz, zasypiając po wtórnie, świadomość tamtego swojego przeczucia w ciemność snu ze sobą zabrał, a odgłosy, jakie do niego później docierały znowu nieprzerwanie: krzątania w głębi domu, telefonów, rozmów, że wuj August w Krzyżtopolu, że Durchlassenschein, że Aleksy, że jakieś tam papiery z Ortskommandantur i że wszystko niebawem będzie gotowe, dalej śnił, aż naprawdę został obudzony, brutalnie z tamtej ciepłej ciemności snu wyrwany, że wszystko gotowe, bo rzeczywiście wszystko już było gotowe: i walizka, i ubranie na drogę leżące obok łóżka na krześle, i dokumenty potrzebne do podróży na wschód, i zezwolenie na pobyt w przyfrontowej strefie, wydane przez Niemców, tak że on wkrótce też był gotów (czy chciał, czy nie chciał, gdyż to musiało go spotkać), już w bryczce, uwożącej go na kolejową stację do Krzyżtopola, siedzącego z matką, wujem i ciotką Felicją, i słuchał tępo pouczeń obu kobiet, tych rozmaitych nieprzydatnych słów, które zwykle mówią sobie ludzie przed rozstaniem, niewiele z nich pojmując. Później, patrząc przez okno swego przedziału, pochwycić zdążył jeszcze bladą próbę uśmiechu na twarzy matki i nieokreślony ruch ręki ciotki, lecz uśmiech matce się nie udał, bo zanim się domyślił, że ma on być uśmiechem, rozpełzł się w smutnym skrzywieniu warg, ruchu zaś ciotki ręki w ogóle nie zrozumiał i pomyślał: „Oczywiście, tak musiało być. Tak chciał los. Żebym właśnie w tej, a nie w innej chwili spotkał się z Aleksym. Najmniej odpowiedniej. Gdy zabrałem mu żonę”. A jeszcze później kobiety pozostały nieruchome, zastygłe, unieruchomione jego ostatnim spojrzeniem na umykającym do tyłu peronie.

Za plecami posłyszał wdzierający się w wielojęzyczny gwar okrzyk: „Transportführer!” Gdy się odwrócił od okna, zobaczył ryżego czło-

wieczka, który wyskoczył z gromady spowitych machorkowym dymem robotników, i że po chwili cała ta polsko-rusińsko-besarabska zbieranina, ciągnąca zapewne na przymusowe prace w głąb Ostlandu, zgarnia niechętnie z ławek liche swe tobołki i przetacza się do wagonu sąsiedniego, zostawiając za sobą odór tłuszczu, długo niemytej w podróży skóry, chleba i fasolowej zupy, a na jej miejsce wkraczają z przedsonka żołnierze węgierscy jakiejś pomocniczej służby. Zajął kąt przy oknie, osłonił się prochowcem, przymknął oczy i udawał, że jest senny, choć teraz senny nie był. Słyszał, jak wuj August rozmawia z kimś po niemiecku, i głosy Węgrów w tym niepodobnym do żadnego z europejskich języku, i kotłujący się wciąż jeszcze gwar w przedsonku, gdzie bahnschutze rewidowali bagaż i sprawdzali dokumenty, a gdy odmykał powieki, to widział zarośnięte, zielonkawe twarze nędzarzy jadących na handel z tłumokami wypchanymi zapewne marną żywnością, twarze, z których wyzierały wygasłe, wycięte w czerwonej otoczce oczy, i jak gdzieś przeganiani nikną z pola widzenia, potem że bahnschutze także nikną, i jak rozlokowani już Węgrzy rozpakowują plecaki, kroją chleb, przydziałową „gummiwurst” i zaczynają się melancholijnie posilać.

Chcąc się jak najprędzej oddalić od tego miejsca i czasu, powtarzał w myśli: „Tak musiało być. Choć to najmniej odpowiednia chwila, żebym tam jechał”, aż wreszcie poczuł pęd nabierającego szybkości pociągu, który oczyszczał wnętrze, mimo że nie był nawet wiatrem, ruchem powietrza zaledwie wpychającym do wagonu żywiczny wiewsosen, szeleszczący i zielony, i to on może właśnie, ten pęd, sprawił, że także i to wszystko, o czym wołał teraz nie pamiętać (o potwierdzeniu zbrodni dokonanej na bracie, o tym, co z jego żoną zrobił, do czego ją doprowadził), oddalać się od niego poczęło w rytmie stukotu kół. I choć jeszcze Katarzyna, gdy się zbliżyła poprzez mgłę pod powiekami, powiedziała: „Sam chciałeś tego. I również, żeby on umarł. Chciałeś” (nie, nie chciał nigdy), to jednak jej twarz oszpecona ironią prędko zatarała się w mroku i później widział tylko wysoko sklepioną głowę kobiety, rozgarnięte białym przedziałkiem włosy łączące się nad karkiem, w swej gładkości i ciężarze jak płynny mosiądz, w którym zatracaly się poszczególne pasma, pozostawała zaś niewiarygodnie luźna substancja o połyskliwych, metalicznych powierzchniach, wreszcie i głowa zniknęła i posłyszał: „Nie zostawiaj

mnie. Nie potrafię być sama”, głos dochodzący z przepastnego wnętrza ciemności, i pomyślał, że kiedy Katarzyna zbliżyła się do niego o świcie naprawdę (nie, nie we śnie jak teraz ani wiele razy przedtem, kiedy jej twarz podobnie się zbliżała, pochłaniana przez mrok, jej głowa, ręce i ciało) i naprawdę powiedziała: „Nie zostawiaj mnie samej”, to już wtedy przewidywał, że minie bezpowrotnie gorąca wiosna i nastąpi długie lato, zanim dopiero powtórzy ona raz jeszcze z taką samą niewymuszoną szczerością: „Nie zostawiaj mnie. Nie potrafię być sama”.

Ocknął się, gdy pociąg ruszał z jakiejś kolejnej stacji. Musieli ujechać spory kawał drogi, skoro przedział tonął już w świetle mierzchnącego dnia. Wuj August z zamkniętymi oczyma siedział naprzeciw, kiwał się w rytm poruszeń wagonu bezwładnie, miękko, podparty sflaczałymi dłońmi, i dopiero gdy on, Paweł, dźwignął się z miejsca, z kieszeni zaś wypadła mu chusteczka, błyskawicznie się pochylił, podniósł ją z podłogi (była to chusteczka Katarzyny, nawet z jej monogramem wyhaftowanym w narożniku) i oddając mu ją, spojrzał wzrokiem, jakim już raz o świcie go obrzucił, widząc wybiegającego z tamtej sypialni, tragicznym, wciąż jeszcze pełnym zdumienia, i zapytał: „Więc to musiało się zdarzyć? Teraz?”, głosem tłumionym, ale dociekliwym, a on: „Nie”, odrzekł, „Nie. Na pewno nie”, czując dłoń wuja na swojej ręce i słysząc znowu: „Powiedz prawdę. Ja też bym tak może postąpił, gdybym musiał kobietę zatrzymać. Ale czy teraz? Właśnie teraz? Powiedz prawdę”, i wtedy wyszarpnął się od wuja w stronę okna i wyrzucił z siebie ostro: „Daj spokój! Do jasnej cholery, daj mi spokój! To nie miało nic wspólnego z Aleksym”, aż rozmawiający ze sobą półgłosem Węgrzy zamilkli i popatrzyli na nich zdziwieni.

Wsparty łokciami o krawędź opuszczonej szyby, stał plecami do przedziału. Miał przed oczyma tylko ruchomą, przesuwającą się mglistą głębię i, choć je szeroko rozwierał, nie widział absolutnie nic. Dopiero po jakimś czasie, gdy fala krwi odpłynęła od głowy w dół, mgła zaczęła ustępować i powoli wyłonił się z niej uchodzący do tyłu las poprzetykany zagajnikami, na których skraju krzewy derenia wyglądały jak zakonnice idące w przeciwnym niż pociąg kierunku równym szeregiem. Cięż od drzew stawał się coraz intensywniejszy, tak że gdy wreszcie się odwrócił, przedział był prawie niewidoczny; jedynie plamka żaru papierosa rozjarzająca się raz po raz czerwono

wskazywała wuja Augusta. Powiedział do niego już spokojnie: „Za cztery, pięć godzin miniemy Baranowicze”.

Dopiero jednak gdzieś w połowie nocy posłyszał głos wuja znowu. Huk detonacji wżerający się w uszy wraz z trzaskiem miażdżonego w pobliżu żelastwa poprzedziły, być może, o sekundę lub dwie zajadłe terkotanie karabinu maszynowego; walizki i kufarki spadały z półek. Głos wuja był opanowany, chłodny, inny niż przedtem. Uspokajał któregoś z współpasażerów, że to jedynie na bocznym torze z Ostroga, że dojeżdżają do Krzemieńca i że wszystko skończyło się szczęśliwie, przynajmniej dla nich, tu partyzanci atakują najczęściej. Potem pociąg ponownie zaczął nabierać rozpędu, łuna została w tyle, a ludzie powracali od okien. Słyszał ich trwożne komentarze, natomiast głosu wuja już nie i myślał: „Gdyby zapytał mnie jeszcze raz... I gdybym nie musiał widzieć jego zdumionego, potępiającego wzroku... Może bym mu powiedział, dlaczego zrobiłem to teraz. I może zrozumiałby”. Potem długo była głucha cisza, a gdy otworzył oczy, posłyszał gdzieś dalej w przedziale śpiwnie zaciągający z rusińska głos człowieka, który zdawał się mówić do siebie (choć mówił do wuja Augusta, bo papieros sędziego znowu tlił się, ukazując w ciemności jego profil), głos niezmiernie utrudzony, przetrawiony na wskroś rezygnacją i stary: „Razem z Polską, proszę pana, na długo upadła sprawa wolności również dla nas, Ukraińców. Zresztą dla Białorusinów, Litwinów, Łotyszów i Estów tak samo. Jej upadek, proszę pana, stał się największym sukcesem Moskwy. Historia nazwie to najokrutniejszą klęską Europy. I nic się już nie da naprawić. Bo to, co moi rodacy jeszcze tutaj robią, to są szalenie tylko zrywy. A najczęściej prymitywne i haniebne, proszę pana. Jedynie Moskwa sowiecka je zdyskontuje. Pochłonie nas wcześniej czy później. A może i was, Polaków, też. Choć macie tak stare tradycje państwowe. Nie umieliśmy, proszę pana, zawczasu, ani wy, ani my, dojrzeć naszego prawdziwego wroga”, aż dalszy ciąg jego monologu rozmielony został przez dudnienie kół. A później zdradzić się musiał jakimś ruchem, bo głos wuja skierowany do niego zapytał: „Nie śpisz?”, i ożywił się, myśląc, że wuj zapyta jeszcze raz o tamto, a on będzie mógł odpowiedzieć zgodnie z prawdą, lecz następne pytanie było obojętne: „Może coś zjesz?”, odpowiedział więc, że nie, że chce spać, pęd zaś i powiew, i szum pędu naprawdę go uspiły.

Potem był już jasny dzień. Stojący z wujem Augustem w drzwiach na korytarz mężczyzna w zgrzebnej popiej sukni rozwodził się o nicości życia i udręce wędrówki po ziemskim padole, a sędzia przytakiwał mu bez większego entuzjazmu. Równina za oknem ustępowała lasom. Wzdłuż torów ukazywały się wyręby i bunkry, było widać niekiedy roztrzaskane, zwalone z nasypu wagony, nad rozgrzaną zaś ziemią, niezbyt wysoko, na równie rozgrzanym niebie, przelatywały co jakiś czas stalowosine storczy. Pociąg był już daleko poza przedwojenną granicą polsko-sowiecką, kiedy Paweł przypomniał sobie myśl, z którą, zdawało mu się, zasypiał: „Więc jeszcze to mnie czeka. Ciało brata”, i dźwignął się z miejsca.

Czuł się niedobrze, bolała go głowa. Wyciągnął z walizki paczkę z zapasami żywnościowymi, przygotowaną przez matkę. Zjadł śniadanie. Po kilku łykach kawy z termosu poczuł ostrą trzeźwość i pożałował, że jadł. Nie mógł się pozbyć złudzenia dojmującego chłodu. Gdy pasażer z przeciwka obudził się, on udał, że śpi. Trząśnięcie powoli, mocno, równomiernie, czując we wnętrzościach zjedzony przed chwilą chleb z szynką, jeszcze ciepły od kawy, ubity w twardą papkę, która podlegała tym samym powolnym, nieustannym wstrząsom, jak gdyby napełniony po brzegi, obciążony żołądek był w jego ciele niezależną od reszty, obcą rzeczą. Myślał: „Znając matkę, powinienem był przeczuć wcześniej. Że nie zazna spokoju, dopóki jej pierworodny nie spocznie w poświęconej, prawdziwie własnej ziemi. Ale jaka ziemia jest teraz własna? A nawet jeśli jest, jak długo jeszcze nią pozostanie!” A później myślał, jak będzie musiał wkrótce spojrzeć na sponiewierane, zżarte przez robactwo ciało Aleksego, w te jego puste na zawsze oczodoły, na to ciało, które nie zakończyło wciąż jeszcze swej ziemskiej tułaczki, choć on, Paweł, dawno już chciał sobie zabrać, a nawet teraz zabrał to, co było mu, temu ciału brata, być może najdroższe, i będzie musiał, po raz któryś już z rzędu, znowu zadać sobie pytanie, czy postąpił właściwie. Wiedział, że nic takiemu spotkaniu obecnie nie zapobiegnie. Lecz ból głowy stępiał myśli. Zmysł powierzchniowej obserwacji tylko, wyostrozony do granic wytrzymałości (zapewne na skutek działania wypitej kawy), na sekundy zatrzymywał w świadomości przetaczający się za oknem pejzaż, monotonna niezmienny, lasy, pola podrastające zbożem, przeplecione z ugorami, tu i ówdzie ruiny wsi, zabłąkane wśród

nich z rzadka całe domostwa, a także nędzne stacje strzeżone przez żołnierzy w mundurach Ostlegionu albo policjantów białoruskich, niczego jednak nie utrwalając, tak samo jak twarzy zmieniających się w wagonie podróżnych; i słuch wyłapywał zdania wypowiedane w różnych językach, często również po polsku, nie zachowując w pamięci więcej nad strzępy, choć i to na krótko, że soda w Warszawie kosztuje 11 złotych, w Mińsku 50 Ostmarek, w Smoleńsku aż 65 za kilogram płacą, że najlepiej sprzedaje się drożdże, bo wiadomo, do pędzenia bimbru, największy zaś popyt jest na cukier. A po jakimś czasie zbliżyła się do niego twarz wuja Augusta znowu. Jego łysa, czerwona, ociekająca strużkami potu głowa pochyliła się nad nim i wuj zapytał, co mu jest, i posłyszał swój własny głos niespodziewanie zrównoważony, chłodny, odpowiadający zupełnie rzeczowo, że nic, że czuje się dobrze, jest tylko jeszcze senny, choć senny nie był ani trochę, i powtórnie głos wuja: „Za godzinę Mińsk”, i rzeczywiście, wkrótce już był Mińsk, ruiny dworca, barak Czerwonego Krzyża, „Verpflegung und Betreuungstelle”, walające się wszędzie poskręcane, zardzewiałe żelastwo, zerwane przewody, pozginane blaszane beczki po benzynie, puszki po konserwach, zwoje kolczastego drutu, resztki nadpalonych drewnianych słupów, dalej latryny, tłum obładowanych pakami handlarzy nurkujących pod wagony, ażeby umknąć kontroli, aż głos wuja rozległ się znowu: „Ponoć na jednym z bocznych torów mamy coś wkrótce do Smoleńska. Trzeba uważać. Jeżeli przepuścimy ten jedyny dla cywilów pociąg, stracimy cały dzień”, lecz dotarł do niego z opóźnieniem, kiedy sędziego w przedziale już nie było, niosąc bowiem obie ich walizki przeciskał się do drzwi. I zaraz Paweł, przebiegłszy za wujem przez perony, stał przed długim składem wagonów towarowych w ostrym słońcu; czując wciąż jeszcze walenie pulsów w skroniach, tępo przypatrywał się, jak feldżandarmi kontrolują dokumenty, odpowiadał zgodnie z tym, co przecież miał tam napisane: jak się nazywa, skąd jedzie, dokąd, po co, i dziwił się, dlaczego mówi tak cicho, że sam siebie ledwie słyszy.

Potem był już w wagonie. Leżał na wiązce słomy rozrzuconej między imitującymi ławki deskami zajętej przez nieokreślonej profesji międzynarodową hałastrę spędzoną przez uzbrojonego konwojenta, dalej odpowiadał wujowi, że naprawdę nic mu nie jest, że wszystko w porządku, położył się tylko dlatego, że nie ma gdzie

siąść, choć leżał, zanim jeszcze zajęto siedzące miejsca, a wilgotny przedburzowy upał i smród wagonu zaciskały mu się na szyi jak obręcz.

Pociąg przecinał rozległe obszary łąk i lasów, rozlewisk i mszarów: kępy obagnionej łązy, karłowate sosny, olchy, krzaki bahunu, wokół których czerwieniało od niedojrzałych pijanic, gęstą siatkę wijących się leniwie strumieni i czarne oka stojącej martwo czarnej wody. W toczonych przez współpasażerów rozmowach nazwy Smoleńsk, Katyń i Kosogory powtarzały się coraz częściej. Ale wciąż to, co go czekało tam, gdzie jechał, od siebie odsuwał. Dopiero później to się stało. Na jednej ze stacyjek, gdzie stali dłużej, gdyż uprzętało po niedawnym bombardowaniu tory. Gdy wyskoczył z wagonu i pobiegł szukać studni (miast której znalazł strugę wijącą się w bagiennej brzezince), i napiwszy się, zdjął marynarkę i się umył, a potem, stojąc z mokrymi rękami i twarzą, nasłuchiwał odgłosów stacji. To stało się właśnie wtedy. Poczul niepojęty, metafizyczny wprost lęk przed ostrością czegoś, co może niebawem uderzyć gwałtownie i niespodziewanie. Nazwy tamtych miejscowości były dlań dotychczas pojęciami tylko oderwanymi, niezmiernie odległe w przestrzeni, a przez to mało prawdziwe, teraz zaś czuł ich realność tak samo jak wówczas, kiedy ktoś mówił: Gleby, Czuprynia, Krzyżtopol albo Lwów, Warszawa lub Kraków.

Z daleka od torów niósł się stuk łomów o żelazo, nawoływanie ludzi, wysoko w górze nie huczały samoloty, kwiliły jedynie gdzieś młode jastrzębie, i tych dwóch nazw: Smoleńsk i Katyń, nagle krzyżących w głowie, słuchał przez długą chwilę w napięciu. Zrazu nie zwrócił uwagi na gromadkę zdziczałych, obszarpanych dzieci, które podeszły i oglądały go z pełnym spłoszenia zaciekawieniem, jedno zaś, śmielsze, dotknęło zdumione jego wiszącej na gałęzi marynarki. Potem jednak zwrócił na nie uwagę. Przyjrzał im się i ten krzyk w głowie, ten niepokój, metafizyczny lęk przed gwałtownością i ostrością czegoś, co niebawem uderzy, na moment przepadły. Przyjął to, był nagle pogodzony ze wszystkim, co go spotka, a w myśli powiedział sobie: „Oni też są biedni. Też zepchnięci na to samo dno”. Wyjął z kieszeni kilka Ostmarek i wyciągnął ku dzieciom rękę, ale cofnęły się nieufne, tak że dopiero gdy położył pieniądze na ziemi i odstał, najstarszy chłopak zbliżył się ostrożnie i je podniósł. Odchodząc,

odwrócił się jeszcze raz. Zobaczył, że chłopak skłonił się za nim głęboko, po chłopsku, po rosyjsku w pas, tym odwiecznym niewolniczym ruchem, a myśl powtarzała mu: „Oni są na dnie od wieków”.

Przed stacyjką znudzeni Niemcy zabawiali się rzucaniem kamieni w garnki nadziane na sztachety płotu; od nagranych podkładów kolejowych zawiewało kreozotem. Jakiś feldfebel siedzący na ławce przywołał przechodzącą z chrustem dziewczuszkę w przetartej męskiej koszuli przepasanej kitajką, zaciągnął ją na kolana i Paweł widział, jak żołdak zabiera się do obmacywania ledwo rysujących się pod płótnem piersi małej, jak ta się wyrывa, pobekując cicho, wreszcie uderzona w twarz toczy się pod mur i stoi tam szara, mizerna, z ustami wykrzywionymi, okrągłym czarnym otworem w ramce nadpsutych zębów, rozdziawionym do krzyku, Niemiec zaś odchodzi leniwie ku oczyszczającym tory rosyjskim jeńcom i zabawiający się przy płocie śpiewają za nim ze śmiechem: „Lass das sein Otto, du bist ein Schwein, Otto...” Lecz już był w wagonie, na swojej wiązce słomy, lokomotywa gwizdnęła, ze szczękiem złącz przebiegł do tyłu chrobot osiek, głębokie, powolne sapnięcie pary i pociąg ruszył. Potem Paweł znowu się zdrzemnął. A gdy się ocknął, byli już w Smoleńsku.

Słuchając głosu spikera płynącego z głośników wiszących na murach: „Wir geben die Luftlage... samoloty nieprzyjacielskie nadlatujące z północnego wschodu kierują się na południe...”, przesiani zostali przez sito policyjnej kontroli i po krótkim błądzeniu udało im się wydostać spośród zgłiszczy dworca. Miasto objawiało im się rzędami nagich murów ziejących z wewnątrz pustką, pełną zarazem ciężkiej, głuchej rozpacz. Szli ulicą o potrzaskanych brukach z zasypyanymi czarnym żużlem lejami po bombach, gdzie tu i ówdzie ocalałe trzypiętrowe budynki zdobiły szyldy: „Haus Liechtenstein”, „Haus Sachsen”, „Haus Brandenburg” i jeszcze innych firm, przyczółków Germanii na Dalekim Wschodzie Europy. Jeszcze dalej baraki z tabliczką „Feldbauleitung d/Lw. Smoleńsk-Süd”, a między barakami bunkry zbite z drewnianych bali i obsypane grubo ziemią. Z rzadka przemykający przechodnie, odziani w dziwne kroju kapoty, których zatrzymywali z wujem Augustem, pytając po rosyjsku o miejscowy Touristenheim, odpowiadali niechętnie i lękliwie. Niemców nie było prawie widać. Dopiero u wylotu ulicy zauważyli grupkę żołnierzy ściągających zewsząd do kasyna, okazałego budynku

dawnego „Domu Krasnoj Armii”, jak głosił niezatarty jeszcze napis. Szybko zbliżała się godzina policyjna i przechodniów było coraz mniej, daleko zawyła syrena przeciwlotnicza, powietrzem wstrząsnęły detonacje ostrzału artyleryjskiego i wypalone mury odbiły echem zduszonych, ludzkich jak gdyby głosów, jednakże wpadli na niemiecki patrol żandarmerii, który przetrząsnąwszy im walizki, po wysłuchaniu wyjaśnień nie potraktował ich zbyt brutalnie, lecz wskazał drogę na plac przy bizantyjskiej katedrze, rysującej się w księżycowej poświacie niby srebrna góra nad czarnym wąwozem, i trafili tam na poszukiwany zespół baraków.

Były jeszcze krótkie formalności w biurze meldunkowym. Nawet uśmiech zrozumienia na twarzy Niemca stemplującego im dokumenty, kiedy otrzymał od wuja sędziego odpowiedź, w jakim celu przybyli, a tęga, o szerokiej, prostacko ładnej twarzy dziewczyna siedząca przy rozdzielniku telefonicznym, zapewne Rosjanka i tłumaczka, obrzuciwszy ich długim spojrzeniem, powiedziała dość poprawną niemczyzną, że mieszka tu także ksiądz z Warszawy, który przyjechał w tym samym co oni celu, i że mogą zabrać się z nim rano na miejsce specjalnym samochodem. Gdy potem Paweł skłonił się lekko i powiedział po rosyjsku: „Dziękuję”, odrobinę głośniejszym, niż było trzeba, ona spojrzała na niego jeszcze raz. Właśnie na niego, nie na wuja. Zauważył, że poruszyła dziwnie głową, i nagle wydało mu się, że w jej wzroku pojawił się wyraz, jak gdyby przypominania sobie czegoś, przypominania mimowolnego, wcale nie pożądanego, jakieś niepokojące ją samą cofnięcie się do przeszłości, odwrócenie się i zarazem wysiłek, aby to przypomnienie, wspomnienie czy cokolwiek to było, usunąć z pamięci, odrzucić. Zabrał klucz i chciał odejść z wujem, ale ten wzrok dziewczyny go zatrzymał. To była jedna sekunda tylko albo dwie, trzy, bo już patrzyła wzrokiem znowu pozbawionym głębi; nie wyrażał niczego, ani zainteresowania bądź braku zainteresowania, ani dobroci bądź podłości, niczego w ogóle; oczy jej były jedynie zimne, obojętne, może nieco senne. Znowu powiedział do siebie w myśli, jak wówczas w podróży: „I oni są na dnie. Może nawet o tym nie wiedzą. Ale przeczuwają”.

W pokoju umył się, bez apetytu przeżuł kawałek chleba, prędko rozebrał, nie zapalając światła, i wskoczył do łóżka. Leżąc na wznak, patrzył przez niezaciągnięte papierem zaciemniającym okno na dziu-

rawe, okaleczone mury po przeciwnej stronie ulicy, przez które, jak przez sito, widać było baniaste kopuły smoleńskiej katedry. Także na niebo, zabarwione luną po niedawnym bombardowaniu, i na księżyc. Myślał o rosyjskiej dziewczynie z recepcji i o tym, co – wydawało mu się – ujrzał krótko w jej oczach, o jakimś bladym jak gdyby odbłasku poczucia winy czy wstydu, ale w końcu doszedł do przekonania, że było to tylko jego własne złudzenie. Wuj August, który zaraz po przybyciu udał się na poszukiwanie wspomnianego przez dziewczynę księdza, nie wracał. W korytarzu skrzypiała podłoga, ktoś dzwonił wiadrem. Zza jednej ze ścian dochodziła przyciszona, nabrzmiąta pretensją rozmowa kobiety z kobietą i plusk wody w miednicy. Jedna z sąsiadek mówiła po niemiecku, druga do niemieckiego mieszała słowa rosyjskie, klóciły się, ale wkrótce umilkły i zaskrzypiały sprężyny łóżka. Gdzieś nie opodal na dole wystukiwał o bruk miarowo swe kroki strażnik: w tę i z powrotem, jedyne, zdawało się, odgłosy miasta prócz trzaskających od czasu do czasu pojedynczych wystrzałów. Zapalając w ciemności papierosa, pomyślał o bliskości Aleksego i zaraz, pierwszy raz chyba od wyjazdu z Gleb, o słowach Katarzyny, że Aleksemu nie jest to, co chcą zrobić, wcale już potrzebne, i zastanowił się, czy chodziło jej o ich podróż z wujem w ogóle, czy o życzenie matki przywiezienia zwłok brata do Gleb. Nie znajdował na to pytanie odpowiedzi. Palce trzymające papierosa drgały mu drobno i jednostajnie. Gdy wreszcie posłyszał na korytarzu kroki powracającego sędziego, odwrócił się na łóżku do ściany. Nie odezwał się do wuja, kiedy ten próbował go zagadnąć, ani też, kiedy sapiąc ze wzburzenia czy przejęcia, kręcił się po pokoju, usiłując zwrócić na siebie uwagę hałasem. Długo słuchał, jak przewraca się w pościeli, nie mogąc zasnąć. On również nie spał. Nie myślał już o bliskości Aleksego. Myślał o tym, do czego onegdaj doszło w Glebach między nim a Katarzyną, i czy musiało właśnie teraz, jak pytał wuj. Myślał także, że zbyt długie czekanie na kobietę wypala w końcu w sercu wszystko, nawet poczucie spełnienia, jak gdyby nie doszło do niczego. Nad ranem zadrzemał na krótko. Śnił mu się szary deszcz, roztopy wiosenne i szpicel wiejski, Antypko, pławiący w stawie zawiązane w worku szczenięta. Cienko gdzieś wyla wśród rozłogów osierocona suka.

Był sam w pokoju, kiedy się obudził. Wstał, ogolił się i umył. Był zupełnie spokojny. W recepcji siedziała ta sama młoda Rosjanka co

wieczorem. Zapytał o wuja sędziego i nie posłyszał żadnej odpowiedzi, a jej ręce odebrały klucz od pokoju krótkim, ostrym ruchem, ze złością. Zapytał więc powtórnie, tym razem po rosyjsku, myśląc, że nie zrozumiała, a wtedy odpowiedziała, że ten, o którego pyta, siedzi w restauracji, ruchem głowy wskazując boczne drzwi, i że samochód będzie za parę minut. I nagle przypomniał sobie to jakies jak gdyby wspomnienie w jej oczach wieczorem, ten parę sekund zaledwie trwający błysk, który od razu zgasła, bo to wspomnienie, to coś, poczucie winy czy wstydu, nie umiał tego nazwać, było w oczach dziewczyny teraz też. Pojął, że wystarczyło, ażeby spojrzął jej mimo woli uważniej w oczy, a to tam od razu było, i nawet prędko pojął, co: tamte wiosenne dni sprzed trzech lat, dżdżyste zapewne, szare, może jeszcze zwarzone spóźnionymi przymrozkami dni, kiedy przez to miasto przetaczały się zamknięte na głucho pociągi załadowane tysiącami mężczyzn w polskich mundurach, które zatrzymywały się potem za ostatnimi przedmieściami, na następnej stacji, i oni tych mężczyzn przewozili z wagonów do lasu, ażeby zabijać strzałem w tył głowy. Gdy odwrócił się wolno w kierunku wskazanych drzwi restauracji, dziewczyna odprowadziła go wzrokiem. Był teraz, przeciwnie niż z wieczora, pozornie tylko zimny i senny, w istocie bowiem w głębi taił upokorzenie, które nie nikło, przesunęło się, odsunęło zaledwie, w miarę jak on, Paweł, się oddalał, tak że gdy wszedł we wskazane drzwi, dziewczynę zupełnie tracąc z oczu, miał wrażenie, że to jej upokorzenie dalej czuje wkoło siebie w powietrzu, przywleczone stamtąd. Ale czuł w sobie wciąż spokój.

Siedzący z wujem przy stoliku mężczyzna był zakonnikiem, bernardynem, przedstawicielem Czerwonego Krzyża z Warszawy. Paweł przysiadł się i ciągle z tym nieodstępującym go spokojem przysłuchiwał się rozmowie, a właściwie monologowi zakonnika, jego cichemu głosowi, który szeleścił, zdawało się, beznamiętnie, niekiedy głuszony gwarem sali, i słuchając próbował zrozumieć, o jakich to tysiącach zaginionych w głębi Sowietów zakonnik mówi, zaginionych bez śladu i nie znalezionych jeszcze pośród trupów w Katyniu. I naraz wydało mu się, że serce mu krzepnie, ścięgnę, mięśnie, jego krew również krzepną, że coś w nim, że wszystko w nim krzepnie i ostre słońce świecące przez okno osuwa się jak gdyby po nim, skupiając, zagęszczając i ścinając mu nawet oddech.

Wtedy wstrzymał go świadomie i natychmiast usłyszał, że to nieprawda, że jednak serce tętni mu krwią, w pulsach skroni też mu łomocze, a to tylko wokół niego zaległa cisza, wprawdzie brzęcząca jeszcze głosem zakonnika, ale poza tym wszystko zamarło, okrzepło, tą ciszą skłoniło się nad nim, pochyliło, żądając, wołając z wyczekiwaniem na decyzję. „Muszę Aleksego znaleźć. Muszę. To nie ma znaczenia, czy wyrządziłem mu jakąś krzywdę, czy nie. Czy on chciałby tego, co zrobiłem z jego żoną, czy nie chciał. Teraz muszę go po prostu znaleźć, bo to jest najważniejsze”. To słowo „muszę” powtarzał z ponurą i nieposkromioną determinacją, niezłomny, rozpaczliwie zdecydowany. I znalazł.

Było to godzinę albo dwie później. Po kilkudziesięciokilometrowej jeździe rozklekotaną półciężarówką, prowadzoną przez rosyjskiego szofera, załadowaną do połowy niemłodymi już kobietami i mężczyznami, którzy wyglądali na przybyłych z bardzo daleka (okazało się, że są rodzinami pomordowanych, pochodzącymi aż ze Śląska), i po przejściu ponad kilometra albo dwóch przez pola i las, bo ciężarówka dowiozła ich jedynie do Gniezdowa, osady przystajnej wśród mokradeł, skąd właśnie – jak powiedział ojciec bernardyn – odstawiano wtedy tamtych na śmierć do katyńskiego lasu. To było już może w samo południe, tak daleki wydawał się Pawłowi ten czas, kiedy zszedłszy do recepcji, rozmawiał z ową roslą dziewczyną rosyjską o umykającym wzroku. To było nawet być może zupełnie inne południe, kiedy wreszcie znalazł. W opieszalym, leniwym, oleistym upale na pagórkowatej, piaszczystej polanie czy też porębie, wśród mnóstwa białych brzoź na porębie, pomiędzy zgarniającymi łopatami wierzchnie warstwy ziemi przygarbionymi jeńcami rosyjskimi, nad którymi stali Niemcy z Feldpolizei, zasłaniając usta i nosy mokrymi chustkami, nieopodal długiego stołu, przy którym siedzieli protokolanci i kręcili się niemieccy i polscy lekarze sądowi w ochronnych ceratowych ubraniach, zabrudzeni trupimi wydzielinami po pas i wyżej, w cikliwym, słodkawomdlącym fetorze unoszącym się z dołów, przesycającym szczelnie całą okolicę, zatykającym oddech, skręcającym krtań i żołądek, jeszcze nim zobaczył, w gęstych wyziewach jakichś chemikaliów, w głębokim dole, w splocie nóg, rąk i głów wystających z grząskiej ziemi pomiędzy liszajami wody czerwonej od rdzy, w palącym, białym świetle

słońca, wśród ciał rozrzuconych byle jak albo poukładanych równo obok siebie twarzami w dół, powiązanych powrozami lub drutem, wtedy gdy po raz któryś z rzędu powtórzył, teraz głośno: „Ja muszę go znaleźć” – to wtedy znalazł, choć nie był to wcale Aleksy, jego rodzony brat, ani ktoś podobny, gdyż był to jakiś Aleksy w ogóle, on i jednocześnie każdy inny, zniekształcony, nie do zidentyfikowania, zwielokrotniony, bliski, a zarazem daleki, już pograżony w czas, jak w to bagno, w którym oni wszyscy leżeli, ale przecież z tego samego plemienia, ciało, kość, strzępy ciała i strzępy kości żywe wciąż jeszcze w nim samym, Pawle, stojącym nad dołem, będącym również z tego samego plemienia i niepowtarzającym więcej: „Muszę go znaleźć”, lecz krótkie, ciche, zamierające: „Więc to tak, to tak, to tak...”

I wtedy posłyszał półszepł wuja sędziego: „Tutaj nie ma go. Wygrzebali już przed miesiącem i przenieśli do innej mogiły. Zaraz dowiemy się gdzie. Ale tu go nie go nie ma”, lecz nie zrozumiał. I odwrócił się, i poruszył. Krzyknął: „Co mówisz? Nie ma?” I wyciągając ręce do szepczącego, znowu krzyczał: „Co, nie ma? Przecież jest!” I widząc tylko rozgrzebany w ziemi, jak rana, dół, jak ślepiec potoczył się w tym kierunku (na nogach odmawiających mu już posłuszeństwa, zanim się był jeszcze poruszył) i zaczął schodzić w tę ludzką maź i gnilne opary, krzyząc: „Przecież jest! Znalazłem! Znajdę!”, aż jeden z mężczyzn w białym kitlu poderwał się od pobliskiego stołu i go powstrzymał, bo byłby w tym wszystkim na dnie ugrzązł, bo byłby w to runął.

Oprzytomniawszy, zobaczył wuja Augusta przy sobie. Twarz wuja była umęczona. Dopiero wtedy tamte słowa doń dotarły: że Aleksy został już gdzieś w innym miejscu pochowany. Lecz wciąż jeszcze jak gdyby nie miał dosyć, jak gdyby musiał napatrzeć się na całe przyszłe życie. Bo był już skupiony w sobie, tak silny, że pragnącemu go odciągnąć wujowi wyszarpnął się, krzyząc: „Zostaw mnie! Nic mi nie jest! Zostaw! Odejdź!” I stanął nad dołem, nieruchomiejąc w pół kroku (zastygając, już prawie po przerzuceniu ciężaru ciała na jedną nogę, z drugą oderwaną niemal od ziemi) i z zimną krwią reportera albo raczej laboranta patrzącego przez szkiełko, badającego, mającego za zadanie utrwalić obraz – utrwalał ten obraz w swej pamięci na zawsze: parometrowe złoża zwłok w polskich mundurach oficerskich z zachowanymi nieźle jeszcze guzikami i odznaczeniami, w ciężkich

zimowych płaszczach, złoża zwłok zniszczonych w skomplikowanym procesie gnicia, a zarazem mumifikacji, zapewne dzięki zawartości piasku w glebie, potem z tej masy, z tej plątaniny wyróżnił poszczególne twarze tych, co leżeli zwrócenii przodem ku górze, twarze bez skóry, jamy ustne i oczne przeświecające poprzez błonę mięśniową i membran, czaszki zawsze z jednakowym otworem wylotowym od kuli na czole, pokryte włosami, które utraciły już barwę, i zachowane doskonale ręce o nietkniętej skórze i paznokciach, o widocznych liniach papilarnych, aż wuj znów się odezwał: „Chodźmy. Odejdźmy gdzieś na bok. Tu naprawdę go nie ma”. A wtedy dopiero się odwrócił.

Wuj stał przed nim z twarzą białą jak kreda, zroszoną, z ustami bez krwi. Wzięli się pod ręce i cofnęli od brzegu dołu w głąb polany. Potem stali i oddychali głęboko, nic nie mówiąc i nie patrząc jeden na drugiego. Ten w białym kitlu podszedł do nich ponownie. Też nic przez chwilę nie mówił. Może wuj chciał coś powiedzieć, ale to wyglądało tak, jakby brał w płuca jeszcze głębszy oddech. Wtedy ten w białym kitlu powiedział: „Porucznik Aleksander Woynowicz, proszę panów, musi leżeć, jeśli się nie mylę, gdzieś z samego brzegu. To jedna z tych zbiorowych mogił tam za wzgórzem”. „Chodźmy”, powiedział wtedy Paweł cicho. „Jeszcze nie”, powiedział wuj. Oczy miał lekko przymknięte. „Będę później czekał na panów”, powiedział ten w białym kitlu, „Tam w leśniczówce...”, wskazał głową za las, „...w magazynie są te różne drobiazgi znalezione przy zabitych. Niemcy pozwalają je obejrzeć. A to jego numer”, i podał karteczkę. Odwrócił się. Już go dawno nie było, a oni wciąż jeszcze stali, milcząc i Paweł bezgłośnie powtarzał te cztery cyfry zapisane kopiowym ołówkiem na kawałku papieru wyrwanym z notesu, utrwalając je w pamięci. Potem wypowiedział je głośno, a wuj drgnął i teraz z kolei on powiedział: „Chodźmy”.

Wolno powracali na skraj polany. Nie trzymali się już pod ręce, ale dotykali się ramionami. Omijali wcześniej opróżnione doły, z których jeden w kształcie ogromnej litery L ciągnął się ku najwyższemu ze wzgórz. Tych kilkadziesiąt, a może kilkaset ciał, wydobytych tego dnia i złożonych obok siebie na ziemi w długich szeregach, ciągle mieli w promieniu wzroku. Ostry, wstrząsający powiew stamtąd szedł bezustannie za nimi, gniotąc piersi (miał iść za nimi jeszcze

długo), a pracujący przy ekshumacji Rosjanie odprowadzali ich w milczeniu wzrokiem pełnym jakiejś docieklivosti i upokorzenia zarazem. Skierowali się ku ścieżce prowadzącej na wyższą część polany, ale w połowie drogi wuj zatrzymał się, siadł na zwałonym pniu pod dębami i zgaszonym głosem powiedział: „Gdy siedziałem... gdy byłem... tam, pod Uralem, w tym łagrze... I później na «posieleniu»... A zresztą przedtem też... W czasie tego straszliwego transportu w pięćdziesięciostopniowym mrozie... W ogóle tam, rozumiesz? Tam! Zawsze widziałem wokoło siebie śmierć. Co mówię, śmierć! Wiele śmierci. Naszej, polskiej śmierci. Teraz jednak... Teraz... nie... to zupełnie coś innego...” A choć Paweł chciał mu przerwać, nie mógł wydać z siebie głosu. Po chwili sędzia otarł pot ze swej łysej czaszki, bo jego zroszona przedtem jak łzami twarz (jeżeli to rzeczywiście były łzy) obeschła już wcześniej w słońcu, i dzwignął się z pnia. Wtedy Paweł powiedział cicho: „Tego nie da się z niczym porównać”. Wuj w tym momencie nie powiedział nic. Szli znowu w słodkawej, mdlącej, straszliwej woni, której nie był zdolny odwiać nawet wiatr. Mijali po drodze tylko robotników rosyjskich, którzy dwójkami dzwigali na drewnianych noszach rozpadające się, zniekształcone procesem gnicia zwłoki w mundurach, oblepione wilgotną jeszcze ziemią. Potem wuj odezwał się jeszcze raz: „Masz rację. Tego nie da się z niczym porównać. Tego nawet nie trzeba porównywać z czymkolwiek”.

Potem wydeptana ścieżka doprowadziła ich do ciągnących się rzędami kilkunastometrowych mogił. Kończył się młodniak białych brzóz, w pobliżu był już stary las. Paweł przyspieszył kroku, zostawiając za sobą wuję sędziego, i to miejsce wkrótce znalazł. Było oznaczone drewnianą tabliczką z szeregiem numerów – od do, niczym więcej, a cała mogiła była obeschnięta w słońcu, popielatoszara, z rozsypującymi się już od pierwszych upałów krawędziami. Ten numer Aleksego powtórzył Paweł bezwiednie w myśli znowu parokrotnie, jakby to były słowa modlitwy, a nawet wymówił go w pewnej chwili głośno, i to było wszystko: numer składający się z czterech cyfr, szara, rozsychająca się mogiła, cząstka, kilkucentymetrowej szerokości cząstka tej mogiły, słońce w górze i tam w głębi pod ziemią, półtora metra w głębi lub dwa, być może jeszcze pod warstwą wapna, on, Aleksy, brat.

Było bardzo cicho. Nikt się w pobliżu nie kręcił prócz starego Rosjanina o wyglądzie wieśniaka, wynajętego prawdopodobnie w pobliskiej wiosce do opieki nad cmentarzem, który zwoził na taczkach kwadratowe kawałki wilgotnej darni i okładał nimi jedną z mogił. Dopiero dalej, tam gdzie cmentarz się kończył i stał wysoki, z brzoźowych pni zrobiony krzyż, widać było kilka kobiet. Stali z wujem, znowu nie mówiąc nic, patrzyli na tabliczkę utkwioną w ziemi, patrzyli na inne, tkwiące gdzieś dalej, z przodu i z tyłu, a szmer listowia niosący się od strony lasu był drobny, jednostajny, jakby ktoś bezustannie coś szeptał. Potem zbliżyła się do nich jakaś kobieta. Powiedziała, że ojciec bernardyn odprowadza teraz na miejsce pochówku wydobyte z rana zwłoki, i zapytała, czy nie zechcieliby się przyłączyć do pogrzebu; twarz miała szerniałą, pogrążoną w jakiś zawzięty cień padający z oczu. Poszli za nią w milczeniu. A potem byli tam. Na najwyższej części wzgórza. I widzieli ten cmentarz, jak ciągnął się w dole kilkunastometrowymi mogiłami w białawej mgiełce upału, w suchym, rozproszonym zapachu sosen i dębiny, aż po rozległą wyniosłość gęstego lasu, który przekreślał pół horyzontu, a poza tą wyniosłością wyczuwało się jeszcze drugi las, cały tłum sosen i dębów, który nie wznosił się, nie wystrzelał z niej wzwyż, ale jak gdyby wychylał się tylko i nachylał głęboko nad tym przesiąkniętym krwią miejscem.

Zbliżając się, już z daleka posłyszeli litanie za spokój dusz zmarłych, odmawianą przez grupkę kobiet i mężczyzn, między którymi stał zakonnik w liturgicznych szatach, i znowu zobaczyli rosyjskich jeńców; głowy mieli obnażone, twarze bez wyrazu. Na drewnianych noszach znosili ciała pokryte teraz płachtami brezentu, stawali nad dołem, przytrzymując brezent, przechylali nosze, zsuwali ciało w głąb dołu i zaraz następne, następne i następne... Ich pogrubięte od pracy, prawie czarne ręce poruszały się szybko i sprawnie. Potem osuwała się z łopat w głąb dołu ziemia. Osuwała się miękko, bez charakterystycznego stukotu, jaki wydaje zwykle, uderzając o wieko trumny, ale dość głośno, by wzbudzać głuche echo, i szmer lasu wtórował nieustannie głosom modlących się ludzi, tym głosom, które mówiły o sprawach już zakończonych, lecz nigdy obojętnych. Później Paweł usłyszał szept wuja: „Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci”, i wydało mu się,

że jego własny szept i słowo „amen” łączą się z szeptem wuja, nie głośniejszym przecież niż szmer lasu, ale to już był szept nie wuja ani jego, a zakonnika, który ledwie słyszalnie, monotonnym, jakimś zagubionym, pomniejszonym przez szeroki przestwór głosem, przez ogrom powietrza i wysokość bezchmurnego nieba mówił, szeptał: „...nie zniknęli, tylko po prostu przenieśli się w utysiąckrotnione życie. W pamięć najbliższych, w trwałą pamięć naszego narodu, a także w pamięć tego narodu, który zadaje równie łatwo męczarnie i śmierć innym, jak i sobie samemu. Dla nas pozostaną na zawsze symbolem męczeństwa, dla oprawców wiecznym wyrzutem sumienia i palącym stygmatem wstydu na ich czołach. Dla ich dzieci i dzieci ich dzieci, aż kiedyś staną twarzą w twarz ze zbrodnią swoich ojców i zechcą zrzucić z siebie to hańbiące piętno, i raz na zawsze zejść z drogi barbarzyństwa. I to będzie zasługa tych, których tutaj grzebiemy. Nie płaczcie. Oni są wprawdzie martwi, ale nie umarli. Nie są przywaleni ziemią na zawsze, ale od niej wolni, z jej czarnego wnętrza powstający, by wejść i pozostać w każdym z nas. Rozproszeni w rozkładzie, ale też w naszym doczesnym życiu, w naszych smutkach, radościach, w gniewie, w łagodności i dobroci, w naszych wzlotach i upadkach, zarówno w naszej podłości i małości, jak i doskonałości, sprawiedliwości, szlachetności i miłości, we wszystkich naszych namiętnościach i czynach, tak na jawie, jak i we śnie. Są również w niezliczonych cząstkach otaczającego nas świata: w ciszy zimowej nocy, w mroku i brzasku, w kwiatach i gałęziach, w drobinach powietrza i promieniach słońca, w rosie i deszczu, wietrze, szelestach dębowych liści. W nieustającym, niepowstrzymanym życiu, w biegu czasu do kresu barbarzyństwa i do prawdziwej wolności. Są we wszystkim, stanowiąc z nami, żywymi, i tymi, którzy przyjdą po nas, nierozzerwalną jedność. Choć już bez serca, które by krwawiło z ran...” A Paweł myślał, jakby na przekór słowom zakonnika: „On jest blisko, jest tutaj gdzieś tak bardzo blisko, że czuję niemal jego oddech, ale tylko tutaj... Tylko tutaj...”, zaciskając w dłoni wilgotną, chłodną grudkę ziemi, zanim ją tam w głąb rzucił.

Później dół był już zasypany, ziemia uformowana w prostokąt, ubita łopatami, i ci wszyscy ludzie, przybyli aż z drugiego krańca Polski i towarzyszący w pogrzebowym obrzędku, rozchodzili się raz jeszcze do miejsc, gdzie leżeli ich najbliżsi: mężowie, synowie

lub bracia. Nastąpiło prawie popołudnie, gdy Paweł z sędzią zeszli ze wzgórza i zanurzyli się powtórnie w tamtą trupią woń. Ten znany im już mężczyzna w białym kitlu czekał na nich na ścieżce. Poprowadził ich przez las do leśniczówki. Wuj o coś zapytał, czego on, Paweł, nie dosłyszał, usłyszał jednak odpowiedź tamtego. Mężczyzna mówił, że niebawem skończą wszystkie prace, że już tu niebezpiecznie, lasy pełne sowieckich partyzantów i front niedaleko. „Niemcy twierdzą, że powinniśmy znaleźć tu jeszcze ponad dziesięć tysięcy zabitych jeńców z obozów Starobielska i Ostaszkowa. Ale nie... Dotychczas znajdujemy w ziemi tylko tych, co siedzieli w Kozielsku. Może będzie ponad cztery tysiące ciał. Żadnych innych. Oczywiście, mówię o naszych. Bo obcych tak. Okoliczne lasy pełne są mogił. Gdzie tylko spróbować pokopać, tam ktoś leży. Ale to Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy, no, w ogóle sowieccy ludzie. Tutaj było miejsce ich kaźni już jakieś piętnaście lat wcześniej. Ogrodowy teren należał do enkawude”. Ale na nowej polance ukazała się już leśniczówka.

Wartownik przepuścił ich, nie legitymując, a dopiero wewnątrz ten w białym kitlu wytłumaczył jednemu z Niemców, po co ich przyprowadził. Po chwili byli w obszernej dobrze wybielonej wapnem izbie, wzdłuż stołu stali ludzie przeglądający jakieś papiery, fotografie i przedmioty, ten w białym kitlu wyszedł, zaraz wrócił, niosąc podłużną szarą kopertę zaopatrzoną w numer, ten sam, jaki już Paweł znał na pamięć, wysypał zawartość koperty na stół i zobaczyli złożoną na czworo stronicę gazety rosyjskiej, parę monet jednozłotowych, strzęp książeczki wojskowej, na którym wyblakłym, pokrytym zaciekami i plamami pismem widniały wypisane Aleksego personalia, guzik z orzełkiem od munduru i szerniałą, przezartą korozją papierośnicę. „Żadnych listów?”, zapytał wuj. „Nie, żadnych. To wszystko”, odparł ten w białym kitlu. Paweł wyciągnął rękę, a ponieważ Niemiec, zanim sobie poszedł, kiwnął przyzwalając głową, wziął papierośnicę do ręki. Czuł chłód przenikający od przedmiotu na jego dłoń i myślał z niedowierzaniem, że to właśnie to po Aleksym pozostało: srebrna papierośnica inkrustowana kością słoniową, którą Aleksy zabrał ze sobą w trzydziestym dziewiątym roku, idąc na front. Ta pamiątkowa, symboliczna niejako papierośnica z wygrawerowanymi inicjałami pradziadka Stefana, z datą tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku, którą po pradziadku

otrzymał dziadek, po dziadku ojciec, po ojcu Aleksy, a teraz trzymał ją w dłoni on, Paweł.

Później już sami szli z powrotem. Obok baraku Feldpolizei, gdzie znajdowało się zainstalowane laboratorium badawcze, stała gromadka ludzi czekających na obiecaną przez Niemców ciężarówkę. W czasie drogi nikt się już nie odzywał. Kobiety nie płakały, ale ich spojrzenia z uporem powracały do umykającego w dal lasu, do uchodzącej coraz prędzej w tył krętej linii szosy, na kraniec horyzontu przekreślonego roztopiającą się w czerwieni słońca kreską. Mężczyźni patrzyli sobie nawzajem w oczy z niemym pytaniem. Ich twarze były jednakowo zamysłone, nieprzystępne, nachylone wciąż jeszcze w głąb tamtej ziemi, gdzie zostawili swych synów i braci, w głąb czasu, kiedy ich stracili, a może wychylone z tego czasu, z jego głębi, w niepewną przyszłość, w okrutną ciemność otwierającą się przed nimi jak otchłań.

Dopiero w Smoleńsku, już siedząc w pokoju Touristenheimu, wuj się odezwał: „A twoja matka wyobrażała sobie, że wydadzą nam ekshumowane ciało Aleksego i że będziemy je mogli zabrać”, i w jego głosie była nie tylko tamta groza z katyńskiej polany, ale i jakaś gorzka ironia, bo przecież wszyscy oni w Glebach, choć niby wiedzieli, co i jak się stało, inaczej to sobie wyobrażali. Więc odpowiedział wujowi: „Daj spokój, wuju. Wiem, to niemożliwe”. Rozmawiali monosylabami jak gdyby i z dużymi pauzami: „Spakuję walizki”, „Dobrze, wuju”, „Pociąg do Mińska odchodzi za cztery godziny”, „Tak, wiem, wuju”, „Z Mińska podobno też coś mamy w nocy”, „To dobrze, wuju”. Wreszcie walizki były gotowe, formalności wyjazdowe w biurze załatwione, dokumenty ostemplowane i wuj, odkręciwszy termos, wypił resztkę zwiędniętej, zimnej kawy jeszcze z Gleb. On, Paweł, leżąc wyciągnięty na łóżku, palił papierosa, patrzył na podziurawiony mur po przeciwnej stronie ulicy, jak zaciąga się z wolna szarością cienia, aż w końcu zmierzch napełnił również i wnętrze pokoju, tak że jedynie okna rysowały się na ścianie jaśniejszymi kwadratami. Zbliżała się godzina policyjna.

Przez prawie wymarłe miasto, nad którym unosiła się zwiędnięta woń spalenizny, poszli na dworzec; zewsząd tchnęło grozą i przyczajoną śmiercią, w górze warczały samoloty. Gdy załadowany po brzegi pociąg ruszył, zaczęło się sowieckie bombardowanie magazynów przy

torach. Ale wkrótce błyski eksplozji przestały wydobywać z ciemności wnętrza wagonu stłoczonych, miotających się w paniczny strachu ludzi, ich przerażone oczy i twarze, wszystko zniknęło, bo nawet głosy umilkły, że gdyby nie rozklębione wokół oddechy, pomyśleć by można, że ci ludzie zostali w Smoleńsku, i Paweł, pogrążając się w szybki, narastający rytmicznie stukot kół pędzącego pociągu, zobaczył ten miniony dzień raz jeszcze, z góry zresztą wiedząc, że i tak nie zaśnie, zanim nie zobaczy, a więc zobaczył raz jeszcze od samego początku, godzina po godzinie, minuta po minucie utrwalając w pamięci wszystkie szczegóły na zawsze.

Dopiero nazajutrz wczesnym wieczorem byli w Krzyżtopolu, a do Gleb zajechali wynajętymi końmi, kiedy już zmierzchało. Potem nastąpiło to, o czym w czasie całej powrotnej drogi wołał nie myśleć, ale znalazłszy się na ganku i słysząc wołanie którejs z ciotek, że już przyjechali, pomyśleć musiał i myślał przez cały czas, kiedy oni wszyscy zbiegli się z pokojów do sieni i zatrzymywali, spoglądając na nich obu stojących z walizkami w rękę, zakurzonych, brudnych, zmęczonych, udręczonych, w wymiętych ubraniach, ze zmiętymi twarzami, wszyscy ustawieni półkolem o krok lub dwa przed nimi: ciotki Felicja i Wiktoria, matka, Katarzyna, Piotr Czerestwienski, a z tyłu nawet domowa służba. Wtedy to, co chciał powiedzieć, co wyobrażał sobie, że powie, bo zdanie po zdaniu obmyślał dokładnie w pociągu, nagle uciekło mu z głowy. Patrzył niemo to na matkę, to na Katarzynę, która raptem dotknęła ręką czoła owym zamysłonym gestem, jaki zapamiętał sprzed podróży, potem tylko na matkę. Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że czekają, aby powiedział cokolwiek, a nie milczał. „Oni nie wydają ciał”, powiedział tylko. Z trudem wytrzymał wyczekujący wzrok kobiet. Wiedział, co myślał. „To wszystko prawda”, powiedział jeszcze. Potem się cofnął. Potem znowu się cofnął. I jeszcze się cofnął. Potem szedł już do swego pokoju.

Od wydawcy

Od wielu lat z kręgu środowisk polonistycznych płyną alarmujące głosy o stanie świadomości literackiej Polaków. Chcielibyśmy, aby obejmowała ona pełny kanon literatury polskiej, ale nie mamy pewności, że tak jest. Chcielibyśmy także, by funkcjonowały w niej nazwiska autorów spoza kanonu szkolnych lektur, ale wiemy, że tak nie jest. Sporo napisano już o tym, że literatura bywa dziś wypychana z miejsca, które jeszcze niedawno zajmowała w hierarchii dóbr kultury. Widzieliśmy i wciąż obserwujemy, jak stopniowo traci ona swoje ważne miejsce w formowaniu języka komunikacji społecznej.

Dość dużo wiemy również o kryzysie czytelnictwa – o tym, że ma on dwa wymiary. Najbardziej uchwytne jest ten ilościowy – Polacy czytają niewiele. Warto pamiętać jednak również o aspekcie jakościowym. Opracowany jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym i doskonalony po drugiej wojnie światowej system kształcenia kompetencji czytelniczych zwrócony był przede wszystkim ku literaturze pięknej. Jak piszą badacze, jeszcze w latach 80. polscy uczniowie – inaczej niż ich koledzy w Europie Zachodniej – mieli szansę zdobywania umiejętności umożliwiających dekodowanie tekstów trudnych – wyrafinowanych artystycznie. W latach 90. ów sprawdzony system został jednak odrzucony na rzecz takiego, który pozwala opanować przede wszystkim umiejętność czytania tekstów użytkowych. Skutki widzimy dziś gołym okiem. Koordynatorzy Olimpiady Literatury i Języka Polskiego oraz uniwersyteccy wykładowcy od dawna utyskują na obniżający się poziom umiejętności czytania i pisania wśród kandydatów na studia polonistyczne oraz wśród studentów polonistyki. Ci z kolei skarżą się na brak rzetelnych i zarazem przystępnie napisanych opracowań. Czy mają rację? Wydaje się, że tak. Brakuje dziś książek przypominających choćby te, które ukazywały się w ramach „Biblioteki Analiz Literackich”. Stąd pomysł powołania do życia niniejszej serii wydawniczej.

Kierujemy ją do uczniów, studentów, nauczycieli i wszystkich tych, którzy nie stracili jeszcze wiary w wartość literatury jako narzędzia komunikacji w ramach pewnej kulturowej i narodowej wspólnoty. Pamiętając, że pisarzom tworzącym dawniej poświęcono już wiele opracowań naukowych i popularnych, będziemy w niej prezentować wyłącznie dorobek autorów współczesnych. Chcemy oddać w ręce czytelników zarówno reprezentatywny wybór tekstów danego pisarza czy poety, jak i wybór kontekstów ważnych dla jego twórczości – biograficznych, ideowych, gatunkowych i tym podobnych. Zależy nam na tym, by dać czytelnikom klucz umożliwiający otwarcie samego wnętrza tekstów literackich. Właśnie dlatego każdy tom zawiera propozycje interpretacji kilku utworów – istotnych w dorobku danego twórcy. Zdajemy sobie sprawę, że proponowane przez nas opracowania nie są w stanie wypełnić wszystkich luk polskiej świadomości literackiej. Wierzmy jednak, że stając się częścią szerszej zakrojonych działań służących zahamowaniu czy nawet odwróceniu opisanych wyżej tendencji, będą one ważnym elementem procesu przywracania naszej zbiorowej pamięci nie tylko znaczących pisarzy oraz ich dzieł.

Redakcja

Streszczenie

Pisarstwo Włodzimierza Odojewskiego (1930–2016) charakteryzuje się wyrafinowaną formą literacką, a także podejmowaniem najważniejszych i najtrudniejszych aspektów ludzkiego istnienia. W swej twórczości pisarz koncentruje się na trzech fundamentalnych kwestiach: pamięci, bólu i miłości. Subtelnie ukazuje Odojewski także okoliczności dojrzewania, nierzadko dokonującego się w dramatycznych okolicznościach. Te wielkie tematy odzwierciedlają się we wnikliwej prozie psychologicznie osadzonej w kontekście skomplikowanej i tragicznej historii XX wieku. Jako przykłady pisarstwa Odojewskiego prezentujemy w tej książce dwa opowiadania (*Ikonka Siergija* i *Nie można cię samego zostawić o zmierzchu*) oraz fragment powieści *Zasypie wszystko, zawieje...*. Pozwalają one poznać skalę artystycznych możliwości pisarza, a dołączone interpretacje, szkic monograficzny oraz biograficzny mogą dostarczyć czytelnikowi wskazówek do samodzielnej lektury dzieł jednego z najwybitniejszych prozaików współczesnych.

Summary

The writings of Włodzimierz Odojewski (1930–2016) are characterized by a sophisticated literary structure as well as an engagement with the most important and difficult aspects of human existence. In his work, the writer focuses on three fundamental issues: memory, pain, and love. Odojewski also subtly reveals the circumstances of puberty often taking place in dramatic situations. Such major themes are reflected in insightful psychological prose set in the context of the complicated and tragic history of the 20th century. As examples of Odojewski's writing, we present in this book two short stories ("Sergey's Icon" and "I Can't Leave You Alone at Dusk") and a fragment from his novel *It Will Blanket Everything, and Scatter..*. They reveal the scale of the writer's artistic abilities, and accompanying interpretations along with a monographic and biographical sketch will provide the reader with suggestions for independently reading the works of one of the most outstanding contemporary prose writers.

Spis treści

Wykaz stosowanych skrótów dzieł literackich Włodzimierza Odojewskiego	5
--	---

Rozdział I

Spisywane z pamięci.

Biografia Włodzimierza Odojewskiego	7
1. Okres poznańsko-szczeciński 1930–1959.....	7
2. Okres warszawski 1959–1971.....	9
3. Emigracja 1971–2003.....	10
4. Powrót do Warszawy 2013–2016	11

Rozdział II

Ocalone, nieuśmierzone.

O twórczości Włodzimierza Odojewskiego	13
1. Pamięć.....	13
2. Ból.....	24
3. Miłość.....	29

Rozdział III

Rzeczy ostateczne człowieka.

Interpretacje wybranych utworów	35
1. <i>Ikonka Siergija</i> . Ścieranie kurzu niepamięci.....	35
2. <i>Nie można cię samego zostawić o zmierzchu</i> . Rozpad dziecięcego świata	43
3. <i>Zasypie wszystko, zawieje...</i> Rozgrzebany w ziemi jak rana, dół.....	51

Bibliografia	61
---------------------------	----

Noty o autorach	63
------------------------------	----

Antologia	65
------------------------	----

<i>Ikonka Siergija</i>	67
<i>Nie można cię samego zostawić o zmierzchu</i>	77
<i>Zasypie wszystko, zawieje...</i> (rozdział III)	95

Od wydawcy	117
Streszczenie	119
Summary	121

Table of Contents

List of Abbreviations of Włodzimierz Odojewski's

Literary Works	5
-----------------------------	---

Chapter I

Recorded from memory:

The Biography of Włodzimierz Odojewski	7
---	---

1. The Poznań-Szczecin Period 1930–1959..... 7
2. The Warsaw Period 1959–1971..... 9
3. Emigration 1971–2003..... 10
4. The Return to Warsaw 2013–2016..... 11

Chapter II

Rescued, Unassuaged: On the Work of Włodzimierz Odojewski ..	13
---	----

1. Memory..... 13
2. Pain..... 24
3. Love..... 29

Chapter III

The Last Things of Man: Interpretations of Selected Works	35
--	----

1. “Sergey’s Icon”: Sweeping the Dust of Oblivion..... 35
2. “I Can’t Leave You Alone at Dusk”: The Collapse of
the World of Childhood..... 43
3. It Will Blanket Everything, and Scatter... A Pit Dug in the Ground
Like a Wound..... 51

Bibliography	61
---------------------------	----

Notes on the Authors	63
-----------------------------------	----

Anthology	65
------------------------	----

- | | |
|---|----|
| Sergey’s Icon..... | 67 |
| I Can’t Leave You Alone at Dusk..... | 77 |
| It Will Blanket Everything, and Scatter... (Chapter Three)..... | 95 |

From the Publisher	117
Summary (PL)	119
Summary	121

Dotychczas wydane

Dotychczas w serii Biblioteki Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis” wydano:

Adrian Gleń, *Języki rzeczywistości. O twórczości Juliana Kornhausera*, Kraków 2018.

Andrzej Sulikowski, *Rynek i coraz dalsze okolice. O twórczości Janusza Szubera*, Kraków 2018.

Maciej Woźniak, *Podróż przez rzeczywistość. O twórczości Marka Nowakowskiego*, Kraków 2018.

Konrad Tatarowski, Renata Nolbrzak, *Liryka i polityka. Jacek Bierezin, Zbigniew Dominiak, Zdzisław Jaskuła, Witold Sułkowski – o twórczości poetów podziemnego pisma „PULS”*, Kraków 2019.

Jan Błoński, *Język właściwie użyty. Szkice o poezji polskiej drugiej połowy XX wieku*, Kraków 2019

Zbigniew Chojnowski, *Postacie kobiecości. O poezji Kazimierzy Iłakowiczówny*, Kraków 2019.

Katarzyna Szewczyk-Haake, *Moralna strona ludzkiego bytu. O twórczości Józefa Wittlina*, Kraków 2019.

Dorota Heck, *Topika, tren i tło. O poezji Wojciecha Wencla*, Kraków 2019.

Jerzy Sikora, *Żywe ryby na piasku. Poeci londyńskich „Kontynentów”*, Kraków 2019.

Adam Fitas, *Jedynie prawda jest ciekawa. O twórczości Józefa Mackiewicz*, Kraków 2019.

WYDAWCY:

Wydawnictwo Naukowe
Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
ul. Dewajtis 5,
01-815 Warszawa



Wydawnictwo Naukowe
UKSW

Instytut Literatury
31-112 Kraków, ul. Smoleńsk 16/1



NAKŁAD:
9000 egz.

LICZBA ARKUSZY:
6

Książkę złożono fontami: Humanist i Brygada 1918
oraz wydrukowano na papierze Amber Graphic, 90 g

DRUK I OPRAWA:
Drukarnia Leyko Sp.z o.o.
ul. Tadeusza Romanowicza 11, 30-702 Kraków